1. Ushfeda nasza	opera
2 Filozof Zmiety	Komedya
3. Niewdzięcznik	Komedya
4. [illegible]	
[illegible]	Komedya
5 Pan galantny	Komedyjka
6 Sam niewiem czego [illegible]	Komedya

28.

FILOZOF ZONATY

KOMEDYA,

W PIĄCIU AKTACH

P. NERICAULT DESTOUCHES.



W WARSZAWIE

w Drukarni P. DUFOUR Drukarza J. K. Mci y Rzpltey
ſamego Uprzywileiowanego na Drukarnię Muzyki.

M. DCC. LXXXI.

OSOBY.

ARYST, *Filozof żonaty.*

MELISSA, *żona Aryſta.*

DAMON, *przyiaciel Aryſta*, *amant Elizy.*

SZAMBELAN DWORNICKI, *drugi przyiaciel Aryſta*, *kochaiący Meliſſę.*

POTULSKI, *ociec Aryſta.*

FURYBURSKI, *ſtryi Aryſta.*

ELIZA, *ſioſtra ſtarſza Meliſſy.*

REGINKA, *ſłużąca Meliſſy.*

LOKAY.

Scena w Warſzawie w domu Aryſta.

FILOZOF ZONATY
KOMEDYA.

AKT I.

SCENA I.

Teatr okazuie gabinet literacki, pełen kſiążek. Aryſt ſiedzi przy ſtoliku, na którym ſtoi kałamarz, piora, inſtrumenta matematyczne, i sfera.

ARYST (*ſam w ſzlafroku.*)

WSZYSTKO mnie tu przyiemnie bawi, wſzyſtko daie uczuwać małą komu znaną roſkoſz niewinney ſwobody. Tu żyię ſpokoyny, ſzczęśliwy, daleki od zazdrości i ambicyi; ży-

ię kontent z maiątku miarkowanego żądaniem ż żyię, i widzę wszystkie moie dogodzone pragnienia. Jestem sam, lecz nie samotny; zawsze zabawny, choć pracą nie obarczony... Jeżeli zaś chcę w moich rozerwać się zatrudnieniach, do was, o! Muzy, uciekam, i znayduię roskosz. Przecież (dzięki waszemu obcowaniu) nie naciągnęło moie czoło posępnych marszczkow surowego i dzikiego mędrca!... Gdziekolwiek spoyrzę, wszędzie lube widoki moiemu zabiegaią poyrzeniu, wszędzie podległość i uleganie, wszędzie moia powaga, i władanie!.. Ale cóż z tego! kiedy moie panowanie ten mały ogranicza kącik! Tu roskazuię; gdzieindziey ulegać muszę! Tu iestem wolen, tu iestem młodzian. niestety!... wyidę za prog? iużcim niewolnik, iużcim żonaty!... Tak iest!... żonaty!... O filozofio! iakżeś niesilna przeciw wdziękom tey płci śliczney, o ktòrą niedbać zdaiemy się! Umie ona niewolić, umie gromić samą mądrość, umie czcicielow oney w niewolnicze uymować pęta! Czyż tego nieszczęścia nie doznałem na sobie?... Przecież mam żonę rozumną i cnotliwą, kocham ią, nie iak mąż, ale iak miłośnik, wzaiemnie od niey nayżywszą kochany miłością. Szczęście moie więcey ią obchodzi, iak iey własne; za còż przeciw małżeństwu mam powstawać? Zona moia warta iest nie tylko kochania, ale, gdyby się godziło, uwielbienia!... Ale cóż! kiedy żona... Codzień w niey nowe postrzegam wady zręcznie ukrywane przedtym!... ah! płci ròwnie piękna iak chytra! także to zręcznie umiesz łowić serca czułe!... Ale, iakaż moia nieroztropność!

mogłżem rozumieć, aby nieba niezwykłym obyczaiem dla mnie pierwszego miały tworzyć zupełnie doskonałą kobietę?... Przecież tak rozumiałem, i popełniłem głupstwo. Należy więc, ile możności, unikać wszelkiego przeciwieństwa, cierpieć i wewnętrznie doli swoiey złorzeczyć. (*opartszy się łokciem o stoł, zaczyna czytać, tak, że Damon wchodzi nie postrzeżony, i opiera się na poręczu krzesła. Aryst mowi potym z uwagi, nie widząc iednak Damona.*)

SCENA II.

ARYST, DAMON.

ARYST.

WSZAK to istny moy obraz; wszak to żywe odmalowanie mędrca zgromionego od natury. Ah! ty to pierwszy przeciwko moiemu powstawszy rozumowi, dozwoliłeś mi ku sytości pić truciznę, okrutny przyiacielu! twoia to, acz niewinna, okropna iednak w tym razie wymowa stawiła mi tę osobę w obrazie tak lubym, tak przyiemnym, tak miłym, żem zbyt ufny stał się nakoniec ofiarą prędkiego uwierzenia!

DAMON.

Albo iuż żaluiesz?

ARYST, (zadziwiony postrzegaiąc go.)
Dla Boga, co słyszę! tyż to iesteś, Damonie?

DAMON.
Tak iest.

ARYST.
Pocóż mnie znienacka schodzić?

DAMON.
Albożem cię schodził? mówisz do mnie; odpowiadam.

ARYST.
Ale ia sam się tu być rozumiałem.

DAMON.
Nie mniey i ia iestem tym ździwiony przypadkiem, nie schodziłem cię albowiem umyślnie... Przypadek odkrył mi, że iestem w twoim umyśle obwiniony. Ale proszę, wymow mi: iaki moy iest występek?

ARYST.
Ten, żeś mnie ożenił.

DAMON.
Coż w tym złego?

ARYST.
Nie powinnoby być; i tak sobie przynaymniey tuszyłem.

DAMON.
Alboż nie możesz, ieśli ci się co nie podoba; urządzić inaczey?

ARYST.
Nie mogę... Nic bowiem pewnieyszego, iak to; że każdy mąż ma na coż narzekać. Dotąd milczałem, ale kiedy przypadek mnie wydał, nie mam przyczyn taienia się więcey.

DAMON.
Prawdziwie, nie rozumiem cię.

ARYST.

Przecoż mnie nie rozumiesz?

DAMON.

Małżeństwo, niech kto chce co mowi, iest...

ARYST.

Jest iarżmem, i ciężką niewolą.

DAMON.

Ale dla kobiet, nie dla nas.

ARYST.

Przyidzie kiedyżkolwiek na ciebie koley, i poznasz, że prawdę mowiłem. Doświadczysz, upewniam, że mąż, ktory chce kochać żonę, musi się zrzec całey woli swoiey.

DAMON.

Dla czego? skoro żona iest łagodna, dobra, rostropna...

ARYST.

I moia żona dosyć ma przymiotow do zniewolenia serca, ale się niechce przymuszać dla mnie.

DAMON.

Naprzykład: w czymże?

ARYST.

Jey niebaczność codzień mnie uraża i zastrasza. Naywiększa iey roskosz zdaie się zależeć na wydarzaniu umyślnych okazyi do rozumienia, że iestem iey mężem; codzień nowe zabiera znaiomości, codzień nowe przyiaźni, a mianowicie z kobietami. Uważ teraz, czy w dobrym poufaniu iest moy sekret?

DAMON.

Ubolewam nadtym, że zamiar twoy uiszczony nie będzie; ale nareszcie, czyż chcesz, aby nigdy o twoim nie dowiedziano się ożenieniu?

ARYST.

Jakżebym był szczęśliwy!

DAMON.

Szczęśliwy! dla czego?

ARYST.

Dla tego, że sekretne ożenienie się moie iuż od dwóch lat mimo woli oyca mego uczynione, pòźniey, czy prędzey ściągnie na mnie gniew iego.

DAMON.

Na kilka słow, bądź pewien, uspokoi się. Przywiązanie iego...

ARYST.

Więcey ia obawiam się umartwienia, iak gniewu iego. Szanuię i kocham oyca: ale, czy on teraz będzie przeświadczony o tym, kiedy się dowie, że mimo woli i rady rodzicielskiey, tak ważney dokonałem sprawy? Ale nie tylko to niewoli mnie do sekretu, mowmy poufale: wstydzę się tego, acz tak pełnego słodyczy, i czci nazwiska męża ... drżę na samo iego wzmiankę, pewien wcześnie niezawodnego wyszydzenia! Pobudka ta wprawdzie ladaiaka, lecz...

DAMON.

Rostropnie czynisz, że się z nią przed nikim, pròcz mnie, nie wydałeś. Względem innych, a mianowicie względem żony, staray się o pozornieysze przyczyny, i mòw raczey, że twoy stryi, wielki bogacz, lecz przytym niebaczny, i nieużyty wydziedziczyłby cię, za naymnieyszym domysłem o twoim sekretnym postanowieniu, bez iego woli.

ARYST.

Ta nieokrotność kobiecych ięzykow więcey mnie ieſzcze udręcza: nie dość albowiem moiey żony; ſioſtra iey nieroſtropnieyſza ieſzcze, i taki dziwak, że w momencie uyrzałbyś ią weſołą, w momencie ponurą, płaczącą i śmieiącą ſię, rozgadaną i niemą; ſioſtra, mowię, iey, a przyſzła twoia żona (ktora mowiąc nawiaſem, nie raz ci doymie do żywego) w oſtatnią wprawia mnie roſpacz, przez ſwoią nieſtałość, przez nowe coraz przyiaźnie, i wprowadzanie codzień w dom moy nudnych, a oſobliwſzych oryginałow kobiet. Jeśli kiedy przez zapomnienie trafi mi ſię weyść do ich pokoiu; tylko co drzwi odemknę, wnet naſtaie milczenie, ſzepty, pokrywane uśmiechy; toż znowu ni ztąd ni zowąd wrzawa ſłów i tłumliwe gadania: tak dalece, że ze wſzyſtkich geſtow i min, nic innego wnoſić ſobie nie mogę, tylko, że ſioſtra moiey żony powierzyła ſekretu moiego poſtanowienia całey dyſkretney kompanii. Patrzay, ieśli teraz nie powinienem czekać rozgłoſzenia tey rzeczy?

DAMON.

Prawda, nieroſtropnie poſtąpiły w tey mierze. Poczekayże, poydę ie za to połaiać obie.

ARYST.

Day pokoy. Zdaie mi ſię, lepieyby było poſtąpić łagodnością. Przeſtrzeż tylko moią żonę, że ieżeli odtąd lepiey nie zachowa ſekretu, będę muſiał ſchronić ſię na wieś.

DAMON, (z dwornym uśmiechem.)

Ale, ale, wſzak to ty podobno, przyiacielu, łożyſz twoią umieiętność na to, abyś mogł cierpliwie znoſić wſzyſtkie zdarzenia?

ARYST.

Upewniam, że i tobie wkròtce, nie mniey, iak mnie potrzeba będzie cierpliwości. Znam dobrze Elizę, i obawiam ſię...

DAMON.

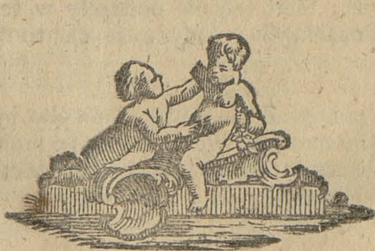
Aryście! kocham Elizę, i gdybym ſię miał żenić, wady iey naymniey mnie nie uſtraſzą. Przynaglony zataić przed nią urodzenie moie, tym ſamym wſtręt iey od ſiebie czynię, rozumie albowiem, iżby ią moie upodliło zamężcie: lecz w rzeczy ſamey ieſtem kochany. A zatym, byle brat moy zakończył ſzczęśliwie ten interes, którym iedynie przez punkt honoru obarczony zoſtałem, dam ſię iey poznać, i...

ARYST.

Im prędzey, tym lepiey; wierz mi.

DAMON.

Idę teraz upomnąć twoią żonę i Elizę.



SCENA III.

ARYST sam.

AH! gdybyż się prędzey ożenił. Im bardziey on będzie nieukontentowany, tym ia lepiey pomszczonym zostanę.

SCENA IV.

ARYST, REGINKA,

(przypatruie się przez czas nieiaki Arystowi, nim do niego przemòwi.)

REGINKA, (na stronie.)

A ZAWSZE w tych książkach! (*głośno*) Mości Dobrodzieiu, Jmość żona pańska...

ARYST.

Tak, tak, wrzeszcz ieszcze głośniey.

REGINKA, (głośniey mòwi.)

I owszem. Jmość...

ARYST.

Ciszey. Od dwòch lat przykazałem wam, żeby mi tu to słowo, *żona*, nigdy nie było wspomniane. Zapomniała o tym?

REGINKA.

A choćby i nie zapomniała? còż to pana ma obrażać?

A R T S T.

Obraża. Nayprzod, że to ieſt nieposłuſzeńſtwo.

R E G I N K A.

No! ta racya ieſzcze uchodzi iakkolwiek.

A R T S T.

Powtóre...

R E G I N K A.

A iuż też to tego nadto. Powiedziałby kto, że to ieſt wielki wyſtępek, nazywać Jmość tak, iak ſię iey należy.

A R T S T.

Ey Reginko!

R E G I N K A.

Còż?

A R T S T.

Kiedy co mówię, potrzeba mnie ſłuchać.

R E G I N K A.

Ba ieſzcze co! ktoby ſię chciał zaſtanawiać nad tym wſzyſtkim, co W. P. Dobr: mówiſz, przyſzłoby...

A R T S T.

Cóż to! nie daſz mi ſłowa przemòwić?

R E G I N K A.

Dla mnie wolno i całą godzinę gadać.

A R T S T.

Wieſz dobrze, że ſekret...

R E G I N K A.

Już to'my całe dwa lata żyiemy, nie wiedzieć, po iakiemu. Milczałam dotąd, ile możności; ale nareſzcie widzę, że tenby mnie ſekret uduſił.

A R T S T.

Mòwię ci, że mi nieſtanie cierpliwości.

REGINKA.

Trzeba też to nareſzcie mieć i ſumnienie. Żeby kobiety całe dwa lata milczały! a dla boga! to ieſt tyrannia. Wolałabym ſto razy żyć w klaſztorze, pościć, modlić ſię, biczować i nieſpać; a przynaymniey do woli ſię nagadać.

ARTYST, (*porywaiąc ſię od ſtolika.*)

Ale ktoż wam zabrania gadać? gadaycie ſobie, ile chcecie; ia tylko w tym iednym po was wymagam ſekretu.

REGINKA.

Tak ieſt; w tym iednym. Ta też to rzecz iedna ieſt dla nas owocem zakazanym, do ktòrego naywięcey biorą pokuſy. Poſtaw mi W. P. Dobr: ile chceſz naywyśmienitſzych potraw, a między niemi zabroń ieść, (naprzykład mówiąc) kaſzy; upewniam, że na tenczas kaſza ſmaczniey ſkuſza appetyt, iak Podlaſkie kuropatwy. Otoż to ſię właśnie ſtoſuie i do Pańſkiego ſekretu.

ARTYST.

O Boże! co za przeciwieńſtwo! co za gadatliwość! co za niedyſkrecya. Otoż to kobiety!

REGINKA.

Niechże i tak będzie. Przecież mimo te wſzykie płci naſzey wady, my kobiety rządziemy męſzczyznami. Męſzczyzni maią rozum, dyſkrecyą i roſtropność; a my tylko mamy wdzięki. Przecież te wdzięki wſzyſtko mogą. Daremnie ponury filozof poſępia czoło, zżyma ſię, hałaſuie i w ſwoim zamyka gabinecie. Niech tylko gładka ſtanie twarzyczka, niech ſię umili, uśmiechnie, zawròci lube oczęta ... wnet

po wszystkim. Tak, tak; skoro attakuiemy, zawsze nasz tryumf.

A R T S T, (*na stronie.*)

Otoż właśnie w kilku słowach cała moia wyrażona historya.

R E G I N K A.

O! iakbym ia rada widzieć, żeby to sobie Pan siedział na dużym krześle, a tu koło niego Jasio, Juzio, Kasia, Ruzia ślicznuchne dziateczki! te na niego woła, *tata*, te mu się drze na kolana, te mu daie reszty cukierkow: aż tu rozrzewniony tatulo, daleyże ie ściskać, daley całować, daley w ślepą babkę, daley w mruczka...

A R T S T, (*na stronie.*)

Niepoczciwa dziewczyna! iak dowcipnie i sprawiedliwie żartuie ze mnie! (*do Reginki.*) Daymyż temu pokoy, moia Reginko! Bądź co bądź, muszę ieszcze przez czas nieiaki taić się z moim ożenieniem, żeby mnie stryi nie wydziedziczył; bo mi idzie o znaczną po nim sukcessyą.

R E G I N K A.

Więc W. P. Dobr: masz i ambicyą? Kiedy tak, poznaię teraz, że filozofowie nie rożnią się od innych ludzi. A gdzież to owe wielkie zdania, ktorych codzień nasłuchałyśmy się? Wszak to (ieśli się nie mylę) są W. P. Dobr: słowa: *O cóż to za słabość ludzka, ta chęć bogacenia się! O iak wielu staie się przez to nieszczęśliwych! Co do mnie, czuię, że więcey mam nad żądanie. Cnota moy skarb! dla niey wzgardziłbym wszystkiemi całego świata królewstwy.* Oy właśnie! upewniam, żebyś W. P. Dobr: nie dotrzymał tego.

A R Y S T.

Mylisz się bardzo, Reginko! Zdanie moie zawsze iest iednostayne, ale go podług okoliczności miarkować umiem. A nie przeklinałyżby mnie potym moie dzieci, gdybym chciał być filozofem z ich krzywdą? nie trzeba w niczym zbytkować. Powinienem więc i ia iakikolwiek dla nich upewnić maiątek.

R E G I N K A.

Chwalebna to iest pobudka, i zapominać o niey nie należy: ale, gdzież są te dzieci? może one będą kiedy, z tym wszystkim...

A R Y S T.

Co?

R E G I N K A.

Rozumiałabym, że nie wielkiey po panu trzeba spodziewać się płodności.

A R Y S T.

Alboż to ia iestem stary, lub niedołężny? Rachuiąc dopiero trzydziesty rok życia, a drugi ożenienia, spodziewam się...

R E G I N K A.

Jać tego zapewne nie wiem, ale pospolicie mówią, że wszystkich razem darow mieć nie można, i że wielcy mędrce mało maią talentow do oycowstwa.

A R Y S T.

Jak widzę, Reginka ma subtelny rozum, i dość go pięknie stara się okazać. Otoż na tak grzeczny komplement, pozwol sobie, Mościa Panno, niemniey także odpowiedzieć grzecznie. Są pewne czasy, że żarty uchodzą; ale dobroć Pańska psuie częstokroć sługi, tak dalece, że koniec końcem przychodzi ich niekiedy wypę-

dzić. Spodziewam ſię, że Reginka, iak dziecko aż nadto dowcipne, zechce korzyſtać z tey przeſtrogi, albo ſpodziewać ſię wnioſku.

R E G I N K A.

A Pan, iako wielki filozof, powinien ſobie także wnieść, że niebeśpieczno ieſt odprawiać ſługę wiadomą pańſkich ſekretow, a ieſzcze ſługę kobietę, ktòra i milczeć nie umie, i pomścić ſię zechce.

A R Y S T.

Prawda, prawda. Zapomniałem, że takie ſługi złotem owſzem potrzeba ważyć. (*daie iey pieniądze*) Otoż na uſpokoienie gadatliwości twoiey. (*na ſtronie.*) Darmo! dola moia, milczeć, i cierpliwie znoſić.

R E G I N K A.

Prawdziwie! więcey ſta funtow ciężaru ulżyłeś mi W. M. Pan Dobr:, ale, żebym była ieſzcze lekſza, niech Pan częściey z łaſki ſwoiey tak ſkuteczną daie mi pomoc.

A R Y S T.

No, no; ſpuść ſię na mnie, byleś ty tylko...

R E G I N K A.

Upewniam, że póki będą pieniądze, póty i pewność z moiey ſtrony ſekretu. Ale dobrze, żem ſobie przypomniała. Zona Pańſka.... tfy... pomyliłam ſię... Jmość...

A R Y S T.

Jmość?

R E G I N K A.

Ah! nie. Moia Pani chciałaby tu przyiść do W. P. Dobr: i pomówić z nim w pewnych intereſſach.

ARYST,

ARYST, (*z żywością.*)
Ale do czego te interessa w dzień, kiedy będziemy mieli dość czasu w nocy? Moia kochana! niechże ona tu nie przychodzi, bo muszę z kilka godzin poczytać, i namyślać się.

REGINKA.
Niechże i tak, wszystko dla Pana uczynię.

SCENA V.

ARYST sam.

ŁAGODNOSC i pieniądze więcey maią perswazyi, iak wszystkie w świecie dowody. Są to dwa szczęgulne sposoby ku poprawie naygorszych. Jak uważam, Reginka lubi pieniądze; niechże one będą odtąd hamulcem na ten niebespieczny, i ladaiaki charakter. Teraz kiedy iuż iestem spokoynieyszy, muszę się wziąść do iakiego użytecznego dzieła: (*siada przy stoliku i chce czytać.*)

SCENA VI.

ARYST, MELISSA, (*wchodzi.*)

ARYST, (*poſtrzegaiąc wchodzącą żonę.*)

Pocoż tu Wac Pani przychodziſz?

MELISSA.

Zkądże w Wac Panu te pomieſzanie i boiaźń? czyż moia bytność tyle ma wrażać wſtrętu?...

ARYST.

Owſzem, bytność Wac Pani ieſt dla mnie źrzodłem naymocnieyſzey roſkoſzy, bo cię ſerdecznie kocham; ale po co wchodziſz do moiego gabinetu? Wſzak iuż o to proſiłem nie raz.

MELISSA.

Prawda ieſt, ale mam z W. Panem pomówić w intereſſie ważnym, i prędkiego zaradzenia potrzebuiącym.

ARYST, (*z żywością.*)

Ale i to prawda, że iak ſię Wac Pani co przywidzi, zawſze na ſwoim poſtawić muſiſz.

MELISSA.

Toż to ma być warte nagany, że chcę go odwiedzieć? Bądź pewien; czynię to, com powinna, i co mi ieſt naymilſzą w świecie rzeczą.

ARYST.

Pierwſzym żony obowiązkiem ieſt powolność.

MELISSA, (z zażaleniem.)

Przeftań, moy Panie, obwiiać słowa w bawełnę, i powiedz raczey: ślepe pofłufzeńftwo. Rofkazywać tylko żonie, to ieft według Wac Pana pierwfzą dlań rzeczą: poświęcę mu zatym całą moią wolność.

ARYST.

Nie żądam ia po W. Pani tyle ofiary. Tak o mnie rozumieć, ieft to mnie brać za tyrana, ieft to mnie krzywdzić. Nie wymagam pofzanowania, ale względu. Dochoway mi fekretu; dość mam na tym.

MELISSA.

Przerwać mu na moment, maż to być urazą?

ARYST.

Ale gdyby tu kto nadfzedł, coby mogł fobie pomyślić?

MELISSA.

Coby mogł pomyślić? ... a wrefzcie co ia dbam o to?

ARYST.

O Boże, czy można z taką fpokoynością mnie zabiiać! ... Co Wac Pani dbafz o to? Możefzże zapomnieć o pobudkach, które mię niewolą do taienia, a nawet do uniknienia, ile możności, cienia nawet fufpicyi względem nafzego małżeńftwa?

MELISSA.

Ale to żadnym fpofobem być nie może.

ARYST.

Zapewne nie, kiedy Wac Pani gadać będziefz.

MELISSA.

Co do mnie, bądź pewien, że i milczę, i milczeć dłużey potrafię; ale czy to być może, żeby ludzie nie widzieli ...

A R T S T.

Wszystko się zapewne wyda...

M E L I S S A.

Ah! iakżeby mnie to cieszyło!

A R T S T.

A zawsze przeciwieństwo!

M E L I S S A.

Być twoią żoną, iest tak wielkie i pełne słodyczy dla mnie szczęście, tak się tym chlubię; iż powszechną o tym wiadomość, miałabym za iedyne i naywiększe ukontentowanie. Jeżeli to moie żądanie iest u W. Pana występkiem, występek ten, bądź pewien, iest dla mnie nader luby.

A R T S T, (na stronie.)

Czy można się nie rozrzewnić dla tak przywiązaney żony! O! kobiety! iakże was nie kochać, skoro wy kochacie!

M E L I S S A.

Gniewasz się na mnie, a za co?..

A R T S T.

Nie, moia kochanko, ia raczey gniewam się na siebie.

M E L I S S A.

Przecoż na siebie?

A R T S T.

Przeto, że spodziewałem się znaleść w Wać Pani dyskrecyą i rzetelność: przyrzekłaś mi albowiem, w czasie ieszcze naszego kochania, taić te śluby, pòkiby mi się tylko podobało; i nikomu tego nie zwierzać, prócz Elizy.

M E L I S S A.

Prawda.

A R Y S T.

Z tym wſzyſtkim (mam Wac Pani obligacyą) kilkadzieſiąt może iuż oſob wie o tym.

M E L I S S A.

Winuy Wac Pan o to moią ſioſtrę, nie mnie, ktòra o tym ſłowa nie mòwiłam przed nikim.

A R Y S T.

I pewnie żałuieſz tego?

M E L I S S A.

Zapewne.

A R Y S T.

A to czemu?

M E L I S S A.

Oto temu, że ſekret W. Pana podaie mnie na nieſławę i ladaiakie rozumienie. Mieſzkamy iuż nie dopiero razem, pełno ztąd uraſta obmòw, codzień dowiaduię ſię o nich. Ale nareſzcie miiam to, maiąc za ſobą świadka wewnętrznego niewinność. Kocham Wac Pana, czynię mu zatym ofiarę i z dobrey reputacyi; ale kiedy aż do tego punktu ieſtem poſłuſzna, w nadgrodę tak wielkiey powolności, będę ſię go o rzecz iedną dopraſzać.

A R Y S T.

Słucham.

M E L I S S A.

Proſzę, żeby Szambelan przynaymniey wiedział o naſzym małżeńſtwie.

A R Y S T.

Szambelan? y możeſz Wac Pani tego żądać? człowiek ten, przed ktòrym naywięcey chcę ſię taić?... Moia Pani, wiedźże o tym, iż on, choć człowiek światowy, ieſt iednak ſkryty i ſtraſzny mędrzec, utaiony pod poſtacią weſo-

ſego, który za naywiękſzą poczytuie ſłabość nie tylko ożenić ſię, ale nawet kochać, który oraz utrzymuie, że nie ma większey ſzczęśliwości nad ſwobodę młodzieńſkiego ſtanu? Chceſzże Wac Pani, żebym iey powiedział ieſzcze więcey? Ja nawet ſam, tak mocno przy nim utrzymywałem nieraz to zdanie, że gdyby broń Boże! o moim dowiedział ſię ożenieniu, wyśmiałby mnie po całey Warſzawie.

MELISSA.

Wac Pan, iak widzę, wſtydziſz ſię być mężem?

ARYST.

Jednak przyſtanieſz Wac Pani na to, że trzeba ſię wſtydzić nieſtałości zdania, i humoru, albo też wyſtawić ſię na ſzyderſtwo; do czego nie mam czoła.

MELISSA.

Wſzelako trzeba ſię koniecznie przezwyciężyć, i wſzyſtko powiedzieć Szambelanowi.

ARYST.

Ale, co Wac Panią nagli do zwierzenia ſię?

MELISSA.

Będzie to wkrótce wiadomo Wac Panu, i przyznaſz ſprawiedliwość pobudki.

ARYST.

Ale niechże zaraz wiem o niey.

MELISSA.

Bardzo ieſt roſtropna, a co więkſza, koniecznie potrzebna.

ARYST.

Ale proſzę mnie nie trzymać w niepewności, bo mnie to nieſpokoynym czyni.

MELISSA.

Nie mogę Wac Panu powiedzieć.

ARYST.

Ale kiedy ia chcę tego, i proſzę.

MELISSA.

Chceſz Wac Pan? otoż powiadam, że ten człowiek światowy, ten żartowniś tak ſtraſzny, który na nieczułości zakłada mądrość; ile razy od Wac Pana wyidzie, tyle razy do mnie wſtępuie na umizgi.

ARYST.

Do Wac Pani?

MELISSA.

Tak ieſt, do mnie.

ARYST.

Czy to być może? żeby...

MELISSA.

Dla niezwaśnienia was milczałam dotąd, ale nareſzcie ta iego uſtawiczna natrętność ſtaie mi ſię przykrą. Aby więc zaprzeſtał, nie widzę ſkutecznieyſzego śrzodku nad obiawienie mu ślubow naſzych. Stanowże Wac Pan teraz, a prędko, kto z nas dwoyga ma mu to powiedzieć. Maſz do tego nie więcey iak dzień ieden. Dłużey nie mogę milczeć. (*odchodzi.*)

SCENA VII.

A R Y S T ſam.

ZACZEKAY Wać Pani... Już poſzła. co za kłopot! mamże iey wierzyć?... To być nie może. Szambelan... Zapewne to iey wynalazek, umyślnie dla tego, żeby .... Nie .... Znam iey roſtropność, krzywdziłbym ią takim rozumieniem... ale nareſzcie co tu w tey mierze począć... Szambelan kocha moią żonę.... Już ci mówiąc prawdę: cieſzę ſię z tego... Co zaś? że moią żonę kocha i do niey ſię umizga?...Nie ieſt to w rzeczy ſamey bardzo miło... honor, honor moy mi nie dozwala... O iakże to rzecz głupia, mieć żonę!... Muſzę póyść do niego, i zręcznie badać, aby mi ſam na ſiebie ſwoią wyznał ſłabość. Im bardziey on okaże ſię zakochany, tym lepſza moia: a potym zobaczę, co przedſięwziąć.

Koniec Aktu pierwſzego.

AKT II.

Teatr okazuie ſalą.

SCENA I.

ELIZA, REGINKA.

ELIZA.

MA tu przyiść Szambelan?

REGINKA.

Tak ieſt, Mościa Dobrodziko.

ELIZA.

Jakże ci ſię zdaie, Reginko, czy kocha on mnie?

REGINKA.

Rozumiałabym, że nie.

ELIZA.

Przyznaię ci ſię, że mnie to mocno uraża.

REGINKA.

Jeſt czemu wierzyć, ale też to człowiek tak nieużyty, że go naygładſza twarz nie powabia.

E L I Z A.

Dla tego też chciałabym go uſidlić: a może uwziąwſzy ſię, i dokazałabym: tyle to ia w tey mierze mam mocy i zręczności?

R E G I N K A.

Skoro tak, życzyłabym doświadczyć ſzczęścia.

E L I Z A.

Mówiſz to do prawdy?

R E G I N K A.

A czemuż nie?

E L I Z A.

Otoż daię ci moie ſłowo, że nie zabawem będzie do mnie wzdychał. Wkrótce zobaczyſz go u nóg moich.

R E G I N K A.

A gdy ſię ſzczerze zakocha, cóż Wac Panna daley z tym pocznieſz?

E L I Z A.

Powiem mu na ten czas, że nim gardzę; że mimo urodzenie, maiątek, i dalſze kierowania ſię nadzieie, nie cierpię go dla tego, że ieſt *fat*...

R E G I N K A.

Już ci go *fatem* nazywać nie można. Rozumie on prawda, że ſzczęście zawiſło na obojętności, ale też nie ubliża i powinnego dla kobiet poſzanowania, i byłby zapewnie kochanym, gdyby ſam chciał kochać. Ale nareſzcie niech i takim będzie, chwalebniey iednak byłoby dla Pani kochać iego, iak Damona, bo ieżeli ia też znam świat cokolwiek, dorozumiewam ſię, że Wac Panna chciałabyś mieć męża powolnego, a takim nayprędzey byłby Szam-

belan. Ludzie wielkiego świata idą zawſze za zwyczaiem przyiętym: kto tylko zakrawa na człowieka dworſkiego, iuż tym ſamym bywa wygodnym mężem. Otoż ſęk. Co to wadzi że mąż *fat*, kiedy cierpi, aby żona mogła mieć kochankow ze ſtrony.

E L I Z A.

Prawdę mòwiſz, Reginko.

R E G I N K A.

Jak te moie zdanie, upewniam, że ſubtelnieyſzego trudno znaleść. Zyczę zatym zaniechać Damona. Skoro nie ieſt dobrze urodzony, przeto ſamo mężem Wac Panny być nie może.

E L I Z A.

Myliſz ſię bardzo, Reginko. Mimo te przeciwne pozory, mam iakoweś przeczuwanie ſzlachetności iego. Kto wie, może też z iakich przyczyn, które czas odkryie....

R E G I N K A.

Otoż to właśnie, takie Wac Państwa romanſowe miłości. Ja zaś mówię: że go znam. Kocha Wac Pannę, bo mu ſię chce znacznego maiątku, ktòry iey ciotka zapiſała, żeby mogł ſwoy ſtan ulepſzyć. Ale ſprobuy, Wac Panna, pòydź tylko za niego, zobaczyſz potym, co on iey zaśpiewa.

E L I Z A.

Còż kiedy moie inakſze ieſt o nim przekonanie. Alboż ia raz ſama ſobie podobne czyniłam uwagi? Wſzak całe dwa lata unikałam tey miłości, i przekonywałam ſię; nie raz go, acz kochanego, martwiłam; nie raz tyſiącznych odemnie doznał przykrości. Nareſzcie, aby o nim zapomnieć, wyieżdżałam: ale to

wſzyſtko nic nie nadało. Rzekłby kto, że mnie ſczarował. Ale ſłuchay no.

R E G I N K A.

Słucham.

E L I Z A.

Zdaie mi ſię, że ieſtem teraz w humorze przyprawienia go o roſpacz.

R E G I N K A.

Cóżby to był za humor taki ſzczęśliwy! Jak uważam, Wac Panna w ten czas nayroſtropniey czyniſz, kiedy zaczneſz dziwaczyć.

E L I Z A.

Już też teraz poſtawię mu ſię ſurowo.

R E G I N K A.

Czemuż go zaraz licho nie przynoſi. Ale iak on tu ſtanie, cóż z Wac Panny będzie, za baranek.

E L I Z A.

Nie mòw, aż zobaczyſz. Już ſię zaczynam gotować na wyrządzenie mu takiey przykrości,... ale żeby mi ſię to lepiey udało, zaczniy co mówić, niech ſię rozgniewam. Mòw co, naprzykład, o moiey ſioſtrze.

R E G I N K A.

Bardzo dobrze. Maſz Wac Panna wiedzieć, że moia Pani iuż ſię naſzemu ſprzykrzyła filozofowi, iuż ſię z nią raz przemòwił tak mocno, że kto wie, czy daley co gorſzego nie wyniknie. Upewniam, że nie będzie więcey tak ſzczęśliwa, iak była dotąd. Jakże, nie podoba ſię to Wac Pannie?

E L I Z A.

I owſzem, podoba ſię. Szczęście moiey ſioſtry, iuż od dwòch lat czyni mnie nieukontentowaną.

REGINKA.

Gniewayże się Wac Panna, a mocno, na to co powiem. Po kłótni nastąpiła zgoda, tak szczera, tak miła, tak pełna rozrzewnienia, że się aż rozpłakał filozof. Ja nawet, mówiąc o tym, łez nie mogę wstrzymać. (*udaie płaczącą.*)

ELIZA.

To oni taką rzeczą zawsze się kochaią?

REGINKA.

Ale iak! Wszak to on teraz iest iey niewolnikiem.

ELIZA.

Co za niebaczny.

REGINKA.

Im więcey ona przewodzi, tym on kontentnieyszy.

ELIZA.

A iuż też tego nadto. Co u kata się dzieie! Nie poymuię, iakiemi wdziękami moia siostra tak daleko zniewoliła sobie tego zacnego człowieka! Jeszcze, gdyby dla mnie, iak ia serdecznie pragnęłam go za męża; nie byłoby to od rzeczy, ale dla moiey siostry! prawdziwie, nie czuię się od złości.

REGINKA.

Utrzymuyże się Wac Panna w tym humorze. A Damon, iak też iest w iey sercu?

ELIZA.

Jak nayokropnieysza poczwara.

REGINKA.

Bardzo dobrze. Podobno też i on nadchodzi właśnie w porę. Zostawiam Wac Państwa sam na sam, ale broń Boże zgody! (*odchodzi.... Eliza siada niedbale wkrześle, i zamyśla się.*)

SCENA II.

ELIZA, DAMON.

DAMON, (*przypatruie ſię czas nieiaki Elizie, która udaie, że go nie widzi.*)

PANI, iak uważam, chce być ſama.

E L I Z A.

Potrzeba było tego ſię domyślić zaraz, bez pytania.

D A M O N.

Chociaż tak dla W. P. Dobr: przykry, nie mogę iednak na ſobie przenieść....

E L I Z A, (*z miną pogardzaiącą.*)

Wac Pana, widzę, inaczey pozbyć nie można, tylko un.kaiąc go.

D A M O N, (*na ſtronie.*)

Zwaweńka Jmość! muſzęż ia być potulnym. (*uſiada w kącie.*)

E L I Z A. (*z żywością.*)

Proſzę ztąd wyiść zaraz.

D A M O N.

Bardzo dobrze, ale niech wiem przynaymniey za co?

E L I Z A, (*z miną oboiętną.*)

Zdaie mi ſię, że nie mam przyczyny w żadne z Wac Panem wchodzić explikacye.

D A M O N.

To prawda. Ale ieżeli moia tak czuła i rzewna miłość...

E L I Z A, (*porywaiąc się z krzesła.*)

Zapewne powiesz ni to, ni owo.

D A M O N.

Otoż iuż milczę.

E L I Z A. (*podrzyżniaiąc.*)

Tak czuła i rzewna miłość. Proszę mi nigdy nie mowić takich słodyczy, bo się niemi brzydzę; i być pewnym, że gusta nasze mocno się różnią ... *Tak czuła i rzewna miłość.* Jaki mi Adonis!

D A M O N, (*na stronie.*)

Darmo! muszę ulegać iey dziwactwom.

E L I Z A.

Pewnie masz mnie za niewiniątko?

D A M O N.

Ah! broń Boże. Znam to dobrze, że Wac Panna nie iesteś niewiniątkiem.

E L I Z A.

Cóż to Wac Pan chcesz przez to rozumieć? Zaraz wyiść ztąd proszę.

D A M O N.

I owszem. (*chce odchodzić.*)

E L I Z A, (*przytrzymuiąc go.*)

Nie, Mospanie; nie poydziesz. Chcę pierwey wiedzieć, co znaczy ten ucinek ze złośliwym wymówiony uśmiechem?

D A M O N.

Naymnieyszey w tym nie miałem myśli: Samaś go W. P. Dobr: podała w wątpliwość. Mówiłaś, że z nią postępuię, iak z niewiniątkiem; ia wymawiaiąc się z tego, powiedziałem, że nie.

E L I Z A.

Ale, coś Wac Pan przez to chciał rozumieć?

DAMON.

Chciałem przez to rozumieć, ... Ale iak to tłòmaczyć, co ſamo przez ſię ieſt widoczne.

ELIZA, (*ze złością.*)

Złośliwy ieſteś.

DAMON.

Ja?

ELIZA.

Moy Boże! co za ſkromne dziecko! Wac Pana by to potrzeba nazwać niewiniątkiem!

DAMON, (*śmieiąc ſię.*)

Może równie, iak Panią.

ELIZA, (*z gniewem.*)

A iuż też to tego nadto. Poczekay Wac Pan, poczekay, muſiſz mi dać za to ſatysfakcyą.

DAMON.

Całym ſercem, całym ſercem: choćby też i zaraz.

ELIZA.

A to w iaki ſpoſob?

DAMON.

Chociaż W. P. Dobr: ieſteś ſtroną wyzywaiącą, ia iednak przez powolność winną dla dam, zoſtawiam iey obranie czaſu, mieyſca i oręża. Ale, że wdzięki tak śliczne mogłyby mnie ſwoim przyćmić blaſkiem, nie zdawałożby ſię Pani, kończyć naſzą zatargę... tak... naprzykład... w nocy? Aha! a czego to ſię Wac Panna uśmiechaſz?

ELIZA.

Już ci choć rozgniewana, śmiać ſię iednak muſzę z tak puſtego żartu. (*śmieie ſię na głos*)

D A M O N.

Jakże mnie to cieſzy, że w iey humorze poſtrzegam łatwość do przeproſzenia ſię.

E L I Z A, (przybieraiąc minę ſurową.)

Myliſz ſię Wac Pan, owſzem poprzyſięgam mu gniew wieczny.

D A M O N, (na ſtronie.)

Co za oſobliwa w ſwoich dziwactwach! ale mam na nią ſpoſob. (*do niey.*) Widzę, że iuż odpuſzczenia ſpodziewać ſię nie mogę, acz nie wiem iakie przewinienia pozbawiły mnie iey ſzacunku, i ściągnęły nienawiść. . . Cóż robić! nikt nie władnie ſwoim ſercem i ſkłonnością. Czuię to, i umrę z roſpaczy! Lecz na udręczenie twoie, okrutna! oddaſz mi ſprawiedliwość po moiey śmierci, będzieſz mnie żałować, ale po czaſie. (*odchodzi.*)

E L I Z A, (przechodząc w tkliwość.)

Damonie! Damonie!

D A M O N, (rzewnie poglądaiąc na nią.)

O! nadto okrupne wdzięki!

E L I Z A, (na ſtronie.)

Jakże on u mnie ſzczęśliwy. (*głośno*) Słuchayno.

D A M O N.

Niechcę; żebyś mnie żałowała. (*odchodzi.*)

E L I Z A.

Ale ia chcę, żebyś tu zoſtał.

D A M O N.

Otoż zoſtaię, ale tylko przez grzeczność.

E L I Z A.

Przez grzeczność?

DAMON.

Niechże i z posłuszeństwa, kiedy się tak Wac Pannie podoba.

ELIZA.

Jakżem nieszczęśliwa!

DAMON.

Nieszczęśliwa! dla czego?

ELIZA.

Że się nie mogę obeyść bez widzenia ciebie. Ah! iakżebym rada tyle go nienawidzić, ile kocham...

DAMON.

Czemuż nie? Wszak iuż przysięgłaś nienawidzieć mnie.

ELIZA.

O! iakże kłamałam!

DAMON.

Co za osobliwsze dziwactwo! możnaż poprzysięgać wieczną ku mnie nienawiść, kiedy wszystkie moie starania...

ELIZA.

Otoż przeciwnie teraz przysięgam.

DAMON.

Któreyże przysiędze mam wierzyć?

ELIZA.

Ostatniey; bo serce należy do niey.

DAMON.

Ma to iuż być szczerze?

ELIZA.

Nie inaczey; daię ci moie słowo. Odmianę tę we mnie zaczął rozum, a dokonało serce. Rozum cię moy krzywdzi, lecz serce mówi za tobą.

DAMON.

Zyczę więc ſerca zawſze nie rozumu ſłuchać. Ale, za pozwoleniem, niech też wiem ieſzcze, za co Wac Panny rozum mam przeciwko ſobie?

ELIZA.

Oto pragnie ſię mścić tego, że nie może moich urządzić ſentymentów. Rozum często przytłumia we mnie ſkłonność dla W M Pana przychylną, a niekiedy wraża nawet nienawiść i wzgardę: zgoła zawſze maſz Wac Pan we mnie ſkłonność dla ſiebie, ale iey często przeciwi ſię reflexya.

DAMON.

Prawdziwie! to oſobliwſzy zniewolenia ſpoſob, lżyć kogo! Więc podług Wac Panny muſzę mieć wiele wad w ſobie?

ELIZA.

Wiele wad! wiele wad!... Jużci chcąc wzierać we wſzyſtkie, możeby ſię im nie znalazło końca.

DAMON.

Bardzo proſzę, niech ſię Pani nie raczy zatrudniać rachunkami tak mało potrzebnemi, bez których wyśmienicie ſię obeydę.

ELIZA.

Nayprzod mimo poſtawę aż nadto ſzczerą, w rzeczy ſamey ieſteś fałſzywy, chytry, i złośliwy.

DAMON.

Zdaie mi ſię owſzem...

ELIZA.

Ale proſzę wyſłuchać cierpliwie, bo mu to wyſtarczy za dobre kazanie. Potym nadto ie-

ſteś zaufany w ſwoiey zacności, i nikogo w równi z ſobą nie ſzacuieſz, z przyiaciołmi ſwemi przeſtaiesz w oczy pięknie i grzecznie; a ſzydziſz z nich po zaoczy, ieſteś intereſſowany, maſz w ſobie wiele miłości właſney, naywięcey trawiſz czaſu u gotowalni, i przed zwierciadłem ... Cóż Wac Pan powieſz na to? taki iego obraz ieſtże dlań z zaletą? Bynaymniey. Przecież mimo to wſzyſtko, Damonie, wyznaię, że cię kocham.

D A M O N.

Choć poſądzony o chytrość, mogęż śmiele wziąć W. Pannę za wzór w ſzczerości?

E L I Z A.

I owſzem.

D A M O N.

Zalety Wac Panny ſą piękność i wdzięki, ale za to ieſteś dumna, nieſpokoyna i cudzego ſzczęścia zawiſna. Maſz rozum, ale ten rozum czyni ią niekiedy nieſtałą i dziwaczną. Kobieta, byle piękna, i warta kochania, przeto ſamo od niey nienawidzona. Jeſteś ſzczera, ale wtenczas, kiedy kogo trzeba wyſzydzić, lub umartwić, iak dopiero ſam tego doświadczyłem na ſobie. Każda rzecz ieſt dla niey materyą mówienia; chorowałabyś zaś milcząc. Ten obraz nie wielkie dla Wac Panny przynoſi zalety, przecież mimo tylu wad, kocham cię, Elizo, a kocham ſerdecznie.

E L I Z A.

Kochaſz mnie?

D A M O N.

Niebo wzywam za świadka ſzczerego przywiązania moiego. Elizo! wierz mi, że cię ko-

cham... wſzyſtkie te wady bynaymniey mnie nie zaſtraſzaią i ieſtem gotow...

E L I Z A.

Ale mnie ſamą zaſtraſzaią: i żebyś miał mię brać za żonę, wierz mi, powinno to Wac Pana zaſtanowić. Ten tylko moim mężem być może, kto mię uzna za doſkonałą zupełnie.

D A M O N.

Otoż kiedy tak, ieſteś nią w rzeczy ſamey. Maſzże dość na tym?

E L I Z A.

Nie. To niewczesne obaczenie ſię nic nie dokaże nademną.

D A M O N.

Zartowałem tylko...

E L I Z A.

Mogęż ieſzcze po W. Panu cożkolwiek ſpodziewać ſię grzeczności?

D A M O N.

Na cożem dla ciebie nie gotow!...

E L I Z A.

Naywiękſzy daſz mi iey dowod, kiedy mnie zawſze unikać będzieſz.

D A M O N.

Zartuieſz, Elizo?

E L I Z A.

Nie żartuię. Proſzę ztąd zaraz wyiść, bo nie ręczę za moy gniew, w który mnie wprowadzaſz.

SCENA III.

ELIZA sama.

ZDRAYCO! śliczne cnot moich czynisz pochwały ... Jak on mówi, musiałabym być nierozsądną i kokietką. Co do nierozsądney; iestem nią w rzeczy samey za to, żem go mogła kochać. Ale co ia mówię! albóż się nie urodził do kochania? albóż nie pełen wdzięków? Ah! aż nadto to iest prawda, aż nadto też to mnie martwi ... Więc ieżelim go kochała, żadnego w tym nie było głupstwa... Co zaś do kokieteryi, nie zawadzi weyrzeć w siebie ... Jużci on nie mówi płonnie. Poczuwam się poniekąd do niey. Ale czy to ma być do przygany? możnaż być kobietą i nie mieć chęci podobania się? Wszystkie kobiety są kokietki, albo z natury, albo z chytrości i polityki, albo nareszcie z ambicyi. Jestem nadto, podług niego, niespokoyna i zazdrośna. Prawda, słusznie mówi, bo czy też to dobrze, że zeszczęścia moiey siostry smucę się?... Jestem dumna... I cóż to ma być złego? możnaż być potulną znaiąc się być piękną?... Nie umiem milczeć ... no! iuż ci na to nie ma co odpowiedzieć ... Ale, iak to nie ma co odpowiedzieć? albóż nie iestem kobieta? A kiedyż to było, żeby kobiety milczały? Nareszcie mam dziwactwa ... O! czy iest co nudnieyszego nad iednostayność humoru! A zatym zważywszy wszystko na tę i na owę stronę,

z przeprofzeniem Wac Pana, Mofpanie Damonie, powiadam ci, że kłamiefz, a ia żadney w fobie nie mam wady.

SCENA IV.

MELISSA, ELIZA.

MELISSA, (wchodząc.)

ŻADNEY wady! ślicznie fię Wac Panna chwalić umiefz.

ELIZA.

Kontentaś Wac Pani z tego?

MELISSA.

Czemuż nie.

ELIZA.

Upewniam, że iak W. Panią zacznę chwalić, nic także brakować nie będzie.

MELISSA, (uśmiechaiąc fię.)

Już mnie Wac Panna odmalowałaś nie raz, ale zgoła odmiennie.

ELIZA.

Bo lubię prawdę, i mówię, co myślę.

MELISSA.

Nic chwalebnieyfzego nad fzczerość, ale nie zawfze czyie przywidzenie może być prawdą.

ELIZA.

Przeprafzam, przeprafzam, moia Pani. Jak ia rozumiem, tak być mufi.

MELISSA.

Jednak Wac Panna żadney w sobie nie upatruiesz wady?

ELIZA.

Tak, tak, żadney nie mam, i wkrótce zobaczysz.

MELISSA.

A to iak?

ELIZA.

Oto pokażę, że ze wszystkim różniemy się od siebie.

MELISSA.

Czyż ta naszych charakterow różnica ma być przeciwko mnie? Byleby tylko owszem nie była na Wac Panny zawstydzenie.

ELIZA.

Tylko no Wac Pani nie rozumiey, aby ta iey udana skromność mogła omamić ludzi. Znaią cię bardzo dobrze, bądź pewna.

MELISSA.

Im mnie lepiey kto pozna, tym sobie więcey podchlebiać mogę. Upewniam, że wielu, których znam, małoby zyskiwało na tym.

ELIZA.

Tylko się Wac Pani z tego nie chełp, że przewodzisz nad mężem godnym politowania w swoiey słabości.

MELISSA.

Prawda, staram mu się podobać, i to cała moia sztuka, ale Wac Panna, rozumiem, że nie chciałabyś przestać tylko na tym.

ELIZA.

Tak, tak iesteś hipokrytka, podobałaś mu się, boś go przez fałszywe zalety oszukała.

MELISSA.

Przecież Wac Panny, choć prawdziwe, nie wziely, ſkutku, i nie udało ſię iey kogoś zniewolić?

ELIZA.

Co! mnie nie udało ſię? co za impertynencya! nie udało ſię,... bom nie chciała.

MELISSA.

'Wſzak ieſteś moia ſtarſza ſioſtra...

ELIZA.

Mowię raz, żem ſama nie chciała, bo to nie była dla mnie partya.

MELISSA.

Za cóż mi moiego zazdrościſz ſzczęścia? Czemu mnie kochaſz iak ſioſtrę, a nienawidziſz, iak żonę Aryſta?

ELIZA.

Tego pułgłowka?

MELISSA.

Mościa Panno, wybaczam o ſiebie; ale honor męża tak mi ieſt miły, że ieśli więcey co podobnego wyrzekniesz, rozſtaniemy ſię. Wcześnie ią oſtrzegam.

ELIZA. (*ze złośliwym uśmiechem.*)

Rozſtaniemy ſię! wielkaż mi krzywda! bez tego z Wac Panią dłużey wytrzymać nie mogę. Ale bądź pewna, że gdybyś nie iednego, lecz trzydzieſtu razem miała mężow, potrafię oddać za moie.

SCENA V.

ARYST z *Kſiążką* MELISSA, ELIZA.

ELIZA, (*chwytaiąc go za rękę, tak, że mu kſiążka z rąk wypada.*)

DOBRZE, żeś tu Wac Pan nadſzedł, mam mu iedną rzecz powiedzieć, ktòra go pewnie zadziwi. (*głośno*) Zona W. M. Pana.

ARYST, (*z pomieſzaniem.*)

Ale dla boga! iuż tyle razy proſiłem, żeby mi tey żony mi wſpominać nigdy.

ELIZA. (*żwawo.*)

Co ia dbam na to; dość iuż tey delikatności...

MELISSA.

Jeżeli Wac Pan maſz cokolwiek do mnie affektu męża.

ARYST.

Ale cóż u kata z tym mężem! proſzę mi nigdy tego ſłowa niewſpominać... O cóż wam idzie? Zapewne fraſzka będzie przyczyną waſzey kłótni, iak zazwyczay między kobietami.

MELISSA.

Co zaś? fraſzka?

ELIZA.

Sliczna fraſzka!

MELISSA.

Aryście, kiedy iuż Wac Pana tak nazywać potrzeba; ſioſtra moia...

E L I Z A.

Otoż masz Wac Pan wiedzieć, że Melissa...

A R T S T, (*przerywaiąc.*)

A ia zaś powiadam, że obie macie po sobie sprawiedliwość.

M E L I S S A.

Jakże mnie gniewa ta Wac Pana niewczesna spokoyność.

E L I Z A.

Zarty Wac Pana właśnie są niewczesne. Idzie tu oto...

A R T S T, (*przerywaiąc.*)

Idzie tu oto, żebyście przestały hałasow i gniewu Nie wchodzę w rostrząsanie przyczyn waszey kłótni, bo to samo częstokroć ią odnawia: ale, ieśli cokolwiek mam u was łaski przeproście się.

E L I Z A.

Ja mam ią przepraszać za to, że mnie chciała z swego domu oddalić?

A R T S T.

Melisso! mogłażeś ty to mówić?

M E L I S S A.

Możeszże mnie Wac Pan ganić o to, kiedy właśnie przymuszona byłam?

A R T S T.

A to iak?

M E L I S S A.

Czyż mogłam cierpieć, aby moia siostra Wac Pana lżyła?

A R T S T.

Jeżeli tylko to, to się zgodźcie. Nigdy kobiecych obelg nie mam za obelgi.

MELISSA.

Cóż to ma znaczyć? Wac Pan aż do tego punktu kobietami pogardzasz?

ELIZA.

Słuchayże Wac Pan, więcey czasem są warte kobiety, iak, uczciwszy uszy, tacy literaci.

MELISSA.

U Wac Pana tylko xiążki coś znaczą, resztę masz za nic.

ELIZA.

Przestaway z kobietami, a upewniam, że się żyć nauczysz, i będziesz grzecznieyszym.

ARTYST.

Hola! hola! stoycie, dla Boga!... Dopiero kłóciły się z sobą, teraz obie powstały na mnie. Niechże się wam przynaymniey wytłómaczę. Alboż to ia co powiedziałem, żartuiąc z płci waszey? Bynaymniey. Jeżeli nie uważam na obelgi kobiet, czynię to przez uszanowanie płci waszey: respekt dla was, czyni mnie nietkliwym na nie. Już tedy proszę zaniechaycie waśni i powiedźcie mi, zkąd początek oney?

MELISSA, (zamyśliwszy się trochę.)

Pytay się Wac Pan moiey siostry.

ELIZA.

Możesz Wac Pani mówić sama.

MELISSA.

Już zapomniałam.

ELIZA.

I ia także nie pamiętam.

ARTYST.

Wyśmienicie! ażem kontent. otoż po wszystkim. Już więc teraz rozumiem, że nie mieliście o co kłócić się: a zatym wniosek moy iest

taki, że albo ſię pogodźcie, albo obie okażecie wielki nierozſądek.

MELISSA, (urażona.)

Należałoby przecie dyſkretniey trochę mówić.

ELIZA, (z popędliwością.)

Nierozſądnieyſza nawet ze dwóch, gdybyśmy miały być takiemi; więcey ma rozumu, niż Waść. Co za grubianin!

ARYST.

Kłóćcież ſię, kiedy chcecie, nie przeſzkadzam.

ELIZA.

Kłócę ſię w ten czas, kiedy mam racyą, ale bez niey nigdy. (*na ſtronie*) Przeklęty gap.

ARYST.

Wielka ſzkoda, bardzom ſię mile bawił: bo żebyście wiedziały, ile to wdziękow i rozumu w tey kłótni waſzey okazało ſię? . . . Ale, no, no, zaczniycie znowu, bardzo proſzę.

ELIZA.

Otoż nie będzieſz na tych godach. Zebyś nas miał wyśmiewać? na złość pogodziemy ſię.

MELISSA.

Miałam całe życie gniewać ſię, ale kiedy tak, odtąd przeſtaię.

ELIZA, (do Meliſſy.)

Uściſkaymyż ſię.

MELISSA, (ściſkaią ſię.)

Całym ſercem.

ARYST.

Ah! iakżeście ſię mocno pomściły nademną.

ELIZA, (do Meliſſy.)

Tak, tak, ściſkam cię z całego ſerca.

MELISSA, (*także ią ściskaiąc.*)

Moia kochana siostro!

A R Y S T.

Daley, daley, ieszcze się uściskaycie mocniey. Ja zaś dla pokazania wam, ile mnie to martwi, chcę was obie ucałować iak nayserdeczniey! (*ściska obie.*)

E L I Z A.

O! ty niedobry.

M E L I S S A.

Wszak to on z nas żartował?

A R Y S T.

Ah! iakżem teraz kontent. (*gdy Aryst ściska ie, iedną po drugiey, nadchodząc na to Futyburski, zastanawia się i przypatruie Arystowi. Skoro przemówi, obie siostry uciekaią.*)

SCENA VI.

ARYST, FURYBURSKI.

FURYBURSKI.

DALEY, daley kochany synowcze. Bardzo ślicznie!

ARYST, (stoi nieporuszony, i nie obziera się na Furyburskiego.)

Dla Boga! co słyszę! wszak to głos mego stryia. Otoż nowe nieszczęście.

FURYBURSKI.

Załuię mocno, żem Waści przerwał literaturę. Slicznie, widzę, filozofuiesz. Cóż to są za kobiety?

ARYST.

Niechcieyże Wac Pan Dobr: mówić ze mną tak surowym tonem. Są to...

FURYBURSKI.

Co?

ARYST, (na stronie.)

Prawdziwie nie wiem, co mu powiedzieć.

FURYBURSKI.

Cóż u diabła! czy zaniemiałeś, moy kochany? odpowiedźże mi na to, o co pytam.

ARYST.

Ale Wac Pan Dobr: niechciey się gniewać. Już tyle razy miałem mu honor przełożyć, że ta popędliwość....

FURYBURSKI.

Waść iesteś filut, Panie filozofie. Zaraz, mòwię, odpowiedź mi na moie pytanie.

ARTYST.

Czemuż nie mam odpowiedzieć? ale tylko proszę Wac Pana Dobr: abyś...

FURYBURSKI.

Dopókiż to tego będzie u nieszczęścia...

ARTYST.

Ale, ieśli być może, bez passyi; bo iak się zalęknę, słowa wymówić nie potrafię zapewne...

FURYBURSKI.

Cóż to! Waść zemną chcesz postępować, iak z głupim?

ARTYST.

I owszem W. Pan Dobr: masz rozum wielki, zdrowie czerstwe, maiątek znaczny...

FURYBURSKI.

Cóż to stosuie się do rzeczy?

ARTYST.

Znakomitość urodzenia...

FURYBURSKI.

Ale Waść mi na moie odpowiedz, co...

ARTYST.

Co większa wdowiec, bez dzieci...

FURYBURSKI.

Ale, bodayeś wreszcie oniemiał;...

ARTYST.

I żyiesz w tey słodkiey swobodzie, która stanowi szczęśliwość ludzi rozumnych.

FURYBURSKI.

Wszystkie mnie złości biorą na ciebie, gadulo!...

ARTYST.

A R Y S T.

Pewien ieſteś przywiązania i reſpektu od ſwego ſynowca. Z tym wſzyſtkim, wśrzod tak wielkiego ſzczęścia...

F U R Y B U R S K I.

Ten hultay ſynowiec, w oſtatnim ſtopniu gaduła i baiarz, iuż mi głowę zawrócił. Rozumieſz Waść?

A R Y S T.

Ale...

F U R Y B U R S K I.

Jak mi piśnieſz ſłowo, wydziedziczę cię.

A R Y S T.

Kiedy mówiąc urażam Wac Pana Dobr, otoż milczę, i odchodzę.

F U R Y B U R S K I.

Nie, nie paniczu, nie można tu milczeć. Powiedź mi Waść zaraz, co to były za dziewczęta?

A R Y S T.

Nie mam żadney racyi taienia, ſą to ſioſtry...

F U R Y B U R S K I.

A więcey co?

A R Y S T, (pomyśliwſzy trochę.)

Z Podlaſia.

F U R Y B U R S K I.

Cóż daley?

A R Y S T.

Odieżdżaią teraz na wieś; i żegnałem ſię z niemi. Otoż rzecz cała.

F U R Y B U R S K I.

Chyba, że tak. Słuchayże, moy ſynowcze, przychodzę tu w intereſſie ważnym, z którego będzieſz kontent.

A R Y S T.

Tylko proſzę mi, Mości Dobr: nie wiele czaſu zabierać, bo mam ieſzcze...

F U R Y B U R S K I.

Chcę cię, moy kochany ożenić.

A R Y S T.

Ożenić?

F U R Y B U R S K I.

Pewnie Waść nie kontent?

A R Y S T.

Nie to Mości Dobr: ale...

F U R Y B U R S K I.

Co więkſza przywiozłem z ſobą przyſzłą waściną żonę.

A R Y S T.

Niechże mi ſię godzi ſpytać, kto ieſt ta dama?

F U R Y B U R S K I.

Moia paſierżbica.

A R Y S T, (*na ſtronie.*)

Zginąłem!

F U R Y B U R S K I.

Cóż to? pewnie nie trafiłem w guſt? he?

A R Y S T.

Owſzem, Mości Dobrodzieiu.

F U R Y B U R S K I.

Jeſt to partya, moy kochany... ale iaka partya!

A R Y S T.

Prawda to ieſt, z tym wſzyſtkim daruy Wac Pan Dobr: moiemu podziwieniu...

F U R Y B U R S K I.

Takem ſię zfatygował w podróży, że muſzę trochę odpocząć. Chodźmy do twego pokoiu,

muſzę ſię poſilić. Wſzak maſz tam podobno dobrą Perſykę. (*odchodzi.*)

SCENA VII.

ARTYST, ſam.

OTo? nowy kłopot! będzież tu hałaſu i gniewu!

SCENA VIII.

ARYST, REGINKA.

REGINKA.

PAN Szambelan, dowiedziawſzy ſię, że go Wac Pan Dobr: ſzukałeś, kazał mu powiedzieć, że dziś tu będzie na obiedzie.

ARTYST, (*na ſtronie.*)

To znowu co nowego. (*głośno*) niechże mu dadzą znać...

REGINKA.

Owſzem nie potrzeba mu dawać znać.

ARTYST.

Czemu?

REGINKA.

Bo tu ieſt w naſzym domu.

ARTYST.

Powiedźże mu, iż ſtryi moy...

REGINKA.

Nim się z Wac P. Dobr: zobaczy, wstąpił tym czasem do moiey Pani.

ARYST.

Jak to! u niey iest?

REGINKA.

Nie inaczey. Właśniem go odeszła całego w umizgach. Teraz zapewne klęczy przed Imością, ale to wszystko dla zabawki tylko. Wszak i Pan nie rozumie inaczey.

ARYST, (*z wymuszonym uśmiechem.*)

Zapewne że nie. (*na stronie*) Co za kłopot! moy Boże! (*do Reginki*) powiedzże mu; ale zaraz... nie nie... day pokoy... nie trzeba nic mówić ... muszę się z nim sam zobaczyć, i dla tego idę natychmiast...

REGINKA.

Do czego się śpieszyć. Skoro on ma zabawę z Imością, zapewne mu się przykrzyć nie będzie, choćby naydłużey czekał.

ARYST, (*pomieszany.*)

Wierzę, wierzę, ale pilno mi iest z nim mówić.

REGINKA.

Ale gdzież ta będzie rozmowa.

ARYST.

W moim gabinecie. (*Reginka odchodzi.*)

SCENA IX.

ARYST sam.

O BOZE! cóż za okropna sytuacya! wielkie szczęście, ieśli nie dostanę zawrotu.

Koniec Aktu drugiego.

A K T III.

S C E N A I.

SZAMBELAN ſam.

OSOBLIWSZYZ to oryginał ten ſtryi Aryſta! iak żyię, więkſzego nie widziałem grubianina. Czy podobna wytrzymać z takim Bartkiem?...Filozofia Aryſta, nie może mieć lepſzego pola do ćwiczenia ſię. Niechże tam, iak może, tak go ſię pozbywa; ia tym czaſem pòydę do Meliſſy. Ale oto i on, widzę.

SCENA II.

ARYST, SZAMBELAN.

ARYST.

WYBACZ, Szambelanie, że ſtryi moy tak niedyſkretny...

SZAMBELAN.

Owſzem, Wac Pana żałuię ſerdecznie. Bądź pewien, że czułem iego umartwienie, iak prawdziwy i dobry przyiaciel.

ARYST.

Wniyść aż do mego gabinetu, przerwać nam rozmowę, nahałaſować ſię, naburczyć i ieſzcze Wac Pana ofuknąć! prawdziwie nie mogę nawet pomyślić o tym bez zawſtydzenia.

SZAMBELAN.

Czy ſkończyliście z ſobą?

ARYST.

Bardzo daleko od tego. Koniecznie chce, żebym ſię żenił z iego paſierżbicą.

SZAMBELAN.

Alboś ty waryat żenić ſię? Przecież znam cię, żeś filozof, a ieſzcze iaki! niech ſobie ſtryi wcześnie wyperſwaduie, że ſynowiec iego ma rozum.

ARYST, (na ſtronie.)

Oczywiście drwi ze mnie! czy tylko iuż nie wie, żem ſię ożenił! (*głośno*) To prawda, że nie raz wyśmiewałem tych bidnych mężow...

SZAMBELAN.

Pewnie chceſz odtąd być dla nich grzecznieyſzym?

ARTYST.

Zaczynam mieć trochę politowania nad ich ſtanem.

SZAMBELAN.

Moyże ty chłopczyno! czy tylko ſię waść nie ożeniłeś...Lataią tu wieści...ale ia temu nie wierzę, i iuż połaiałem nawet kilku baiarzow.

ARTYST.

Wdzięczen ci za to ieſtem.

SZAMBELAN.

Jażbym miał cierpieć, żeby cię aż do tego punktu krzywdzono?

ARTYST.

Jak to, krzywdzono? albożby moia ſława ſzkodowała co na tym?

SZAMBELAN.

A dla Boga! Czyż można ſię oto pytać! Wac Pan, który tyle okazałeś mądrości, i ſtoickiey filozofii! który tyle mòwiłeś za bezżennością! który tyle utyſkiwałeś nad nierozſądkiem ludzi rozumnych, poddaiących ſię pod ciężkie małżeńſtwa iarżmo! który całe życie filozofem i młodzianem być oświadczyłeś ſię... Gdyby nań, broń Boże, cień padł ſuſpicyi o ożenienie ſię, miałbyś co do czynienia ze wſzyſtkiemi Pannami, mężatkami, wdowami: ſłowem, we wſzyſtkich wyſzydzonoby cię kompaniach.

ARYST, (*na stronie.*)

I sprawiedliwie. Zginąłem, iak się dowie, żem iuż żonaty.

SZAMBELAN.

Widzisz moią szczerość, która, iak wiemy, bardzo iest teraz w przyiaźniach rzadka.

ARYST.

To prawda.

SZAMBELAN.

Melissa iest tylko twoia przyiaciołka. Wszak tak?...

ARYST, (*prędko.*)

Tak iest, przyiaciołka tylko.

SZAMBELAN.

Tak też przed wszystkiemi mòwiłem, i rozumiem, że możnaby poufale zwierzyć ci się, gdyby ią kto kochał?

ARYST, (*zatrudniony.*)

Jużci to ... mòwiąc prawdę... iak się komu podoba (*na stronie*) Co za kłopot!

SZAMBELAN.

Więc przyznaię ci się, że ią kocham.

ARYST.

Zartuiesz ?

SZAMBELAN.

Na poczciwość, że kocham.

ARYST.

Nie wierzę, nie wierzę.

SZAMBELAN.

Jakem twoy przyiaciel.

ARYST.

Tym gorzey. Jeśli to prawda, mocno wstydzę się za ciebie. Alboż i ty nie iesteś taki si-

lozof, iak ia, alboś także nie szydził z małżeństwa?... moia rada, zaniechay Melissy.

SZAMBELAN.

Darmo; iuż się stało. Rada ta, choć tak mądra i przyiacielska, nie iest w porę, kiedy moią miłość pomknąłem, aż do myślenia o iey zamęźciu?

ARYST.

Zmiłuy się, nie czyń tego głupstwa, bo będziesz wyśmiany, a odemnie naypierwey.

SZAMBELAN.

Wiadome ci, Aryście, moie urodzenie i substancya. Familia przynagla mnie, abym się żenił, użyię więc tego pozoru. A nareszcie iestem też taki człowiek, że sam wraz z drugiemi gotowem w tym punkcie śmiać się. Zaniechawszy więc tych wszystkich dowodow, i wstrętow, iak raz umyśliłem, tak kończyć będę, byleś mi tylko swoiey nie uchylał pomocy.

ARYST.

Co! iabym cię miał do głupstwa doprowadzać.

SZAMBELAN.

Bądź cokolwiek, na twoiey w tym razie polegam pomocy, i proszę mi iey nie odmawiać.

ARYST, (z gniewem.)

Bardzo się na niey, upewniam, zawiedziesz.

SZAMBELAN.

Czegoż wpadász w cholerę? Melissa zdaie mi się być na twoie rady powolną, a zatym...

ARYST.

A zatym pomagać ci do głupstwa nie chcę.

SZAMBELAN.

Otoż i ona nadchodzi. Proſzę ią przynaymniey nie odwodzić od tego, żeby ſzła za mnie.

ARYST.

Co o to, to bądź ſpokoynym.

SCENA III.

ARYST, SZAMBELAN, MELISSA.

MELISSA, (na ſtronie.)

BARDZO ieſtem ciekawa wiedzieć, czy ſię też zwierzył Szambelanowi.

SZAMBELAN, (do Meliſſy.)

Wſzyſtkiego, Pani, zwierzyłem ſię przyiacielowi naſzemu.

MELISSA.

Czego ſię Wac Pan zwierzyłeś?

SZAMBELAN.

Naſzego ſekretu.

MELISSA.

Alboż mamy iaki? kochaſz mnie Wac Pan, chcę temu wierzyć; ia Wac Pana nie kocham. Więcey też podobno nic nie ma między nami.

ARYST, (do żony.)

Wac Panna Dobr: mówiſz widzę bez ogrodki.

MELISSA, (do Szambelana.)

Maſz Wac Pan więcey co mówić z Jegomością? mów.

A R Y S T, (*do Szambelana.*)

Mów wſzyſtko ſzczerze.

M E L I S S A.

Cóż Wac Pan na to odpowieſz?

S Z A M B E L A N.

Bardzo wiele.

M E L I S S A.

Naprzykład? ſłuchamy.

S Z A M B E L A N.

Zaczynaiąc porządkiem, mówię nayprzód o Jegomości (*pokazuie na Aryſta*) Rozumiałem nie dopiero, że Aryſt Wac Pannę Dobr: kochał, i miał w zamiarze iey zamęźcie; ale teraz wywiedziony zoſtaię z tego błędu, gdyż przyznał mi ſię, że cały zaprzątniony filozofią, był tylko, i ieſt dotąd iey przyiacielem. To przyiaźni wyznanie czyni mnie odtąd śmielſzym... (*gdy Szambelan mówi, Meliſſa ſpogląda na Aryſta; wzruſza ramionami, a Aryſt przez geſty każe iey milczeć.*)

MELISSA, (*cicho do Aryſta.*)

Słyſzyſz, co mówi?

A R Y S T, (*cicho do żony.*)

Zmiłuy ſię nie mów nic.

S Z A M B E L A N, (*do Meliſſy.*)

Jeżeli to ieſt śmiałość, zrzec ſię dla Wac Panny Dobr ſwoiey ſwobody; wyznać, że ſerce moie nayżywſzą dla niey tchnie miłością; że pragnę być w iey prawie do zgonu...

M E L I S S A.

Co co?

S Z A M B E L A N.

Że chcę poświęcić życie i maiątek moy, tudzież oddać ſię iey przez nieſtargane małżeń-

ſkie związki; daruy mi to, Pani, a racz przyiąć oświadczenia....(*upada iey do nog.*)

ARYST, (*na ſtronie.*)

Jak ſmutną przychodzi mi udawać rolę.

MELISSA, (*do Szambelana.*)

Moſpanie, proſzę wſtać, bo zaraz wyidę.

SZAMBELAN.

Taż to cała nadgroda miłości tak mocney i ſtateczney!

MELISSA, (*do Aryſta.*)

I Wac Pan to cierpieć możeſz?

ARYST, (*cicho do Meliſſy.*)

Zmiłuy ſię, wytrzymay ieſzcze. (*głośno*) Poznaię Mościa Dobr: że ią Szambelan mocno kocha, że ſię dla niego zniewolić nie chceſz, że daremne ſą iego uſiłowania, że powinienby wſzyſtkiego zaniechać: należy iednak, abym wiedział pierwey, ieśli Wac Pan Dobr: nie dałaś iakiey otuchy miłości iego: w tym razie albowiem byłabyś winną. Nie prawda?

MELISSA.

Prawda. Jeżelim Jmci choć naymnieyſzą kiedy uczyniła nadzieię, niech mówi.

ARYST.

Jeżeli moia przytomność ma przeſzkadzać do otwartego wymówienia ſobie, wychodzę.

MELISSA, (*do Aryſta.*)

Ta zbytnia dyſkrecya gniewa mnie. Proſzę zoſtać. A Wac Pan Mości Szambelanie powiedź wſzyſtko ſzczerze; nie mamy albowiem racyi wyſtrzegać ſię naſzego przyiaciela. Trzeba, żeby wiedział o wſzyſtkim.

SZAMBELAN.

Otoż bez naymnieyſzego dodatku wſzyſtko powiem ſzczerze. Niech i to nowym będzie dowodem moiey powolności na roſkazy Wac Panny Dobr:

ARYST, (ſtawaiąc między niemi.)

Tym lepiey. Abym dokładnie mogł być wiadomy całego między Wac Państwem intereſſu, powiedź mi Wac Pan, ieżeli bywaiąc u Jmości Dobrodziki mogłeś, czy to z dyſkurſu, czy z weyrzenia, czy z ſpoſobu zabawy powziąć iakążkolwiek otuchę? Proſzę przedemną naymnieyſzey nie taić okoliczności.

MELISSA, (tonem urażoney do Szambelana.)

Co większa, maſz Wac Pan wiedzieć, że Jmci to nie intereſſuie więcey, tylko iak przyiaciela, gotowego mnie upomnieć, ieżeliby iaka do mnie z ſtrony Wac Pana ſłuſznie okazała ſię być pretenſya.

ARYST.

Tak, tak; iak przyiaciela. Proſzę mi ufać, i być pewnym, że nie omieſzkam naganić...

SZAMBELAN. (do Aryſta.)

Otoż zobaczyſz, iak daleko ſzczerym będę.

ARYST, (na ſtronie.)

Drżę cały, żebym ſię czego mniey miłego nie dowiedział. (*głośno*) ſłucham.

SZAMBELAN.

Zaczynaiąc zaraz od intereſſu, mòwię, że gdym Jmości Dobrodzice pierwſzy raz moią oświadczył miłość, rozśmiała ſię na to, ale tak bardzo...

ARYST.

Jeſzcze dotąd nie ieſt winna. Còż daley?

SZAMBELAN.

Że urażony tym mocno, zakląłem się nigdy iey odtąd w życiu moim nie widzieć. W kilka dni potym wychodząc od ciebie, byłem u niey, i spodziewałem się nie zawodnego z iey strony żartu, względem tak prędkiego przysięgi moiey złamania. Ale zamiast tego, znalazłem ią bardzo zimną, straciłem zaraz śmiałość, i natychmiast, bez pożegnania nawet wyszedłem.

ARYST.

Cóż daley?

SZAMBELAN.

Po trzech miesiącach ciągłego nie bywania. Powróciłem bardziey ieszcze roskochany, oświadczyłem iey to; i przyieła mnie łaskawie.

ARYST.

Łaskawie?

MELISSA, (*uśmiechaiąc się.*)

Mów Wac Pan daley.

SZAMBELAN.

Potym obiecała mi sama podać sposoby, ktòremibym mogł się iey podobać: chciała iednak pierwey, ażebym ią upewnił o stosowaniu się do nich.

ARYST, (*mocno zmieszany.*)

Bardzo dobrze.

SZAMBELAN.

Przyrzekłem, nie domyślaiąc się iey zamiaru. Gdy na to, iak naysolennieysze z moiey strony zaszły przysięgi ... Słuchay Aryście bo to, co daley powiem, strasznie cię zadziwi.

ARYST, (*z gniewem.*)

Kończże prędzey, maszli kończyć.

SZAMBELAN.

„Szambelanie, (rzekła do mnie tonem obo„iętnym) oświadczenia Wać Pana czynią mi „honor; ale nic pewnieyszego nadto, że go „kochać nie mogę. Siostra moia pięknieysza „odemnie, mile zapewne ie przyimie; ieżeli „więc chcesz mi się podobać, staray się o nią. „Maiąc tak lubą żonę, zapomniałbyś o mnie. „Te są dwa dla W. Pana szrodki; albo kochay „moią siostrę, albo też, ieśli od tego iesteś dale„ki, proszę, nigdy u mnie więcey nie bywać „odtąd. „

ARTYST, (iuż spokoynieyszy.)

Mówiąc Prawdę, bardzo rostropnie mówiła.

SZAMBELAN, (z gniewem.)

Te przyświadczenie twoie, właśnie iest nie wczesne.

ARTYST.

Cóż na to odpowiedziałeś Jmości Dobrodzice?

SZAMBELAN.

Rozgniewałem się mocno, że mnie tak podeszła... Ale nie tu ieszcze koniec.

ARTYST.

Jeszcze nie koniec? (*na stronie*) byle tylko nie był żałośny!

SZAMBELAM.

Nadto; daie mi ieszcze okazyą do zawiści.

ARTYST.

Względem kogo?

SZAMBELAN.

Tego zapewne nie wiem, ale, okrutna! przysięgła mi, że się w kim innym kocha. „ Nigdy „(słowa są iey) „nikt nie będzie mogł dzielić

„sza-

„szacunku i serca mego z tym, który w sekre-
„cie one posiada. „

ARYST, (do Melissy.)

Mówiłażeś to zapewne Wac Panna Dobr:

MELISSA.

Prawda, mówiłam, i nie wstydzę się toż samo drugi raz powtórzyć. Kocham go i do zgonu życia kochać będę.

ARYST, (do Szambelana.)

Prawdziwie poiąć nie mogę, iakbyś Jmość Dobrodzikę miał kochać po takim wyznaniu; a ieszcze ty, któremu same się natrącaią dziewczęta.

SZAMBELAN, (z westchnieniem.)

Taka to pospolicie bywa kara serc oboiętnych i nieużytych, że nareszcie kochaią bez wzaiemności. Ale też, ieśli się raz tey miłości pozbędę, pomszczę się przez tysiączne wzgardy nad tą płcią okrutną.

ARYST.

Masz racyą. Wierz mi, nie zaniedbyway, i pośpiesz się co rychley.

MELISSA.

I owszem będę kontenta, że mną wzgardzisz.

SZAMBELAN.

Tak; pomszczę się... Ale dość tego, Aryście; podź za przykładem moiey szczerości. i powiedź, czy tylko nie dla ciebie iestem odrzucony?

ARYST, (zmieszany.)

Zostawiam tu Wac Państwo obie, abyście z sobą śmieley mòwić mogli. (do Szambelana) może bezemnie więcey nad Jmość Dobrodziką

persfwa-

perſwazye twoie dokazać potrafią: a co do iey zamężcia, bądź pewien, że mu ſię przeciwić nie będę, ieśli tylko naſtąpić może. Lecz iak znam Meliſſę; ſkoro kto raz ſtał ſię iuż godnym iey ſerca, wierz mi, Szambelanie, daremne będą ſtarania twoie, i życzę, odday lepiey ſwoie ſerce inney piękności. Wſzak ieſtem twoy przyiaciel, żałuię cię, i wcześnie odradzam. (*odchodzi.*)

SCENA IV.

MELISSA, SZAMBELAN.

SZAMBELAN.

IEGOMOSC wyſzedł pewny ſerca Wac Panny. Przenika go, widzę, na wſkroś!

MELISSA.

Może i bez przenikania znać go dobrze, bo ſię przed nim nie taię z niczym.

SZAMBELAN.

Czemużbym ia nie miał być tak ſzczęśliwym?

MELISSA.

Cóż z tym robić! on ieden moią ma dla ſiebie ufność, ia też na iednym chcę przeſtać przyiacielu.

SZAMBELAN.

Taki przyiaciel wiele ma coś podobieńſtwa do ſzczęśliwego amanta?

MELISSA.

Czy amant, czy przyiaciel, dość że ieſt odemnie ſzacowany, a mówiąc ſzczerze, nie wzdrygnęłabym ſię nawet pomyślić i o czym więcey.

SZAMBELAN.

Lepiey powiedzieć wyraźnie, że go Wac Panna kochaſz?

MELISSA.

Wolno rozumieć, iak ſię podoba. Upewniam, że Wac Pana ani tak, ani inaczey przekonywać nie myślę.

SZAMBELAN.

Niechże i tak nareſzcie będzie. Ale proſzę mi przynaymniey powiedzieć, w czym on ma być lepſzy odemnie?

MELISSA.

Wac Pan maſz ſwoy guſt i przywidzenie, ia mam moie zamiary i reflexye. A do tego wiadomo Wac Panu, że ſerce, kiedy ſię dla kogo zniewala, zniewala ſię częſtokroć bez przyczyny.

SZAMBELAN.

Już tedy Pani wzdycha do filozofii?

MELISSA.

Tak nie inaczey; do filozofii.

SZAMBELAN.

Ey! coś mi ſię ieſzcze wierzyć nie chce.

MELISSA.

Otoż Wac Panu raz oſtatni powiadam, że ſercem moim więcey nie mogę władnąć, choćby mnie naywiękſza w świecie ſpotykała partya. Kocham już iednego, i kochać go do zgonu życia będę. Kłaniam uniżenie. (*odchodzi.*)

SCENA V.

SZAMBELAN ſam.

NIE tak mnie martwi iey oboiętność, iak dziwi nieporuſzony w kochaniu ſtatek! Kobieta ſtała!... a! to ieſt dziwopłod nowo utworzony na moie udręczenie!... Przecież, mimo te uwagi i rady Aryſta, kocham ią tak zapamiętale!... Ale poſtrzegam tę śliczną ſioſtrzyczkę, z którą Meliſſa chce mnie poſwatać... Nie zawadzi oświadczyć ſię iey, nie tak przez powolność dla Meliſſy, iako raczey umyſłem pomſty, i dla dogodzenia ſamemu ſobie.

SCENA VI.

SZAMBELAN, ELIZA.

ELIZA, (na ſtronie.)

OTOZ to ten zuchwały Szambelanek. Cierpieć go nie mogę. Ale że ſię Jegomość pokazuie być nieużytym, muſzę go uſidlić. Idzie tu o moy honor. A do tego, aby Damona wprawić w zawiść, potrzeba mieć dla niego rywala.

SZAMBELAN.

Ah! iakże, Pani, ten moment ieſt dla mnie niebeśpieczny!

ELIZA, (na ſtronie.)

Ten początek, wròży mi pomyślność.

SCENA VII.

SZAMBELAN, ELIZA.

Damon w głębi teatru podſłuchuie ich, ſam niewidziany.

SZAMBELAN, (wrżkomo odchodząc.)

BOIĘ ſię ſtawić mocy wdziękow twoich, Pani!

ELIZA, (w poſtawie umiloney.)

Wdzięki moie aż nadto ſą błahe, żeby ſię miały ſtawać przyczyną tak wielkiego uſtraſzenia.

SZAMBELAN.

I owſzem, Pani! wyznaię, choć niechętnie, że ſerce moie od dawna już wzdychało do niey, lecz nie miałem śmiałości...

ELIZA, (na ſtronie.)

Nie trzeba było i mowić, bom ſię zawſze ſpodziewała tego. (*do Szambelana*) Podobnie i ia z niemnieyſzym już nie dopiero byłam dla Wac Pana ſzacunkiem.

SZAMBELAN.

Jakże! to tylko ſam ſzacunek będzie dla mnie nadgrodą kochania i tey...

ELIZA.

Jak dla Wac Pana, ktory tyle pokazuiesz oboiętności, zdaie mi się, że i szacować go, iuż iest troche nadto.

SZAMBELAN.

Ale ieżeli ia naprzykład dam się zniewolić iey wdziękom, ieżeli to wyznam przed nią?..

ELIZA.

Nie mogłabym wierzyć.

SZAMBELAN.

Dla czegoż, Pani?

ELIZA, (*zasłaniaiąc się wachlarzem.*)

Bobym nie śmiała pretendować tak wielkiego szczęścia.

SZAMBELAN, (*z udaną radością.*)

Ah! niechże cię nie wstydzi tak miłe wyznanie; i w nadgrodę moiego przywiązania, racz dokończyć...

ELIZA.

Dayże pokoy, Szambelanie. Mimo te Wac Pana oświadczenia, znam go nie dopiero być płochym i niestałym.

SZAMBELAN.

Czyż godzi się tak mnie krzywdzić? owszem, przysięgam, że cię kocham, i kochać na zawsze pragnę. (*na stronie*) Nie można dosadniey skłamać.

ELIZA.

Nie śmiem Wac Pana o wzaiemney a tak mocney upewniać miłości, czuię iednak, że serce moie mowi za nim.

SZAMBELAN.

Coż przecie mowi te serduszko?

ELIZA, (*na stronie.*)

Mowi, że skłamałam.

SZAMBELAN, (na ſtronie.)

Kocha mnie.

ELIZA, (na ſtronie.)

Otoż niedawno tak nieużyty, iak teraz roſkochany!

SZAMBELAN, (na ſtronie.)

Jakże te kokietki ſą łatwowierne.

ELIZA, (na ſtronie.)

Jakże miłośnik pierwſzy raz kochaiący śmieſzny ieſt!

SZAMBELAN.

Pani, iak widzę zamyśliła ſię?

ELIZA.

Rozważanie ślicznych Wac Pana przymiotow zaprzątneło mnie przez czas nieiaki.

SZAMBELAN.

Jakże ſię naſze myśli zgadzaią! wſzak to i ia o tym ſamym myśliłem.

DAMON, (wpadaiąc między nich.)

Cóż to znowu! Serca Wac Pańſtwa, ktòre rozumiałem być trochę mężnieyſze, tak ſię prędko, iedno drugiemu wzdaie?

ELIZA, (na ſtronie.)

Otoż zazdrośnik! Właśniem tego żądała. (*do Damona*) Alboż Wac Pan ſłyſzałeś wſzyſtko?

DAMON.

Co do ſłowa.

SZAMBELAN, (na ſtronie.)

Zapewnie ſię o wſzyſtkim dowie Meliſſa, co właśnie moim było zamiarem. Może też zawiść dokaże, czego nie dokazała miłość. (*do Damona*) Te podſłuchiwanie, wierz mi Wac Pan, nie ieſt grzeczne.

DAMON.

Czyż to Wac Pana uraża.

ELIZA.

Wybacz mu Szambelanie; ieſt to ſkutek iego zawiści.

DAMON.

Kto? ia miałbym być zawiſnym? Niechże mię bog broni takiego głupſtwa.

ELIZA.

Co! Wac Pan nie zrobiłeś tego z zawiści?

DAMON.

A tożby o co?

ELIZA.

Co! bezwſtydniku!

DAMON.

Alboż ia kiedy miałem w Wac Pannie ufność?

ELIZA, (na ſtronie.)

Co za niepoczciwy.

DAMON.

Chyba kto rozum ſtraci, ten ſobie będzie mogł podchlebiać, że ią ſtateczną uczynić można. Jużem tak przywykł widzieć Wac Pannę zmiennicą, że mnie to bynaymniey nie martwi.

ELIZA, (na ſtronie.)

Ah! oczybym mu wydarła.

SZAMBELAN.

Jak widzę, nad nadzieię byłem ſzczęśliwſzy, bom nie tylko Wac Panny pozyſkał ſerce, ale nadto uczyniłem ią niewierną. Zoſtawiam Wac Państwa. Zgodźcie ſię z ſobą, ieżeli to ieſzcze być może, lub, ieźli nie? zobaczę potym, iak daleko ufać iey można.

SCENA VIII.

DAMON, ELIZA.

DAMON.

PIĘKNIES mu się Wac Panna dała poznać.

ELIZA.

Niechże i tak, to dobrze. Cóż komu do tego. Ale iakim mnie prawem W.P. szpieguiesz? Wszak raz na zawsze przykazałam ci, żebyś u mnie nie bywał: co nie tylko nie iest, ale ieszcze schodzisz mnie z Szambelanem, a nadto, gdym mówiła, że to czynisz z zawiści, udałeś po sobie zupełną oboiętność.

DAMON.

Toż samo i teraz powtarzam: Nie iestem zazdrośny.

ELIZA, (z złością.)

Jak to! nie zazdrośny?

DAMON.

Szambelan, kiedy Wac Pannie swoię oświadcza miłość, zwodzi ią; Wac Panna kiedy go upewniasz o wzaiemności, także zwodzisz; i ia miałbym być zazdrośnym, patrząc na tę Komedyą?

ELIZA.

Zkądże to Wac Panu ta wiadomość? Pewnie się Wac Panu iednemu tylko podobać mogłam?

DAMON.

Nie to iest. Ale Szambelan W. Panny kochać nie będzie.

E L I Z A.

Czemu?

D A M O N.

Bo charakter Wac Panny Szambelanowi, a Szambelana Wac Pannie podobać ſię nie może.

E L I Z A.

Otoż ci, powiadam, że mnie paſſyami kocha.

D A M O N.

A ia Wac Pannie powiadam, że nie. Co większa inną kocha.

E L I Z A, (*drwiąc.*)

Kogożby to naprzykład?

D A M O N.

Sioſtrę Wac Panny.

E L I Z A.

Moią ſioſtrę, (*śmieie ſię ze złości.*) Co za bayki!

D A M O N.

Na moią poczciwość, kocha ią.

E L I Z A.

Upewniam, że nie będę wierzyć, choćbyś przyſiągł.

D A M O N.

Jak ſię podoba. Ale to tak pewna, iak amen w pacierzu.

ELIZA, (*ze złością.*)

Moy, Panie amen w pacierzu! a pocóżby tu przychodził z oświadczeniem ſwoiey miłości?

D A M O N.

Kto wie! może na złość Meliſie. Z tym wſzyſtkim, możeſz Wac Panna póyść do niey, i zobaczyſz, ieśli to ſamo nie powie.

E L I Z A.

Szambelan miałby mnie kochać na złość szczególnie moiey siostrze! Miałby mi ofiarować serce od drugiey odrzucone! Toż to iego i wasze iest rozumienie, że mnie nie można kochać, tylko w tenczas kiedy kim moia siostra wzgardzi?

D A M O N.

Ktoż się kiedy namyśla w kochaniu? Serce samo za swoim idzie pociągiem, i żadnych nie cierpi reflexyi. Ja naprzykład, czyż choć na moment oparłem się slicznym wdziękom Wac Panny oczu? Nie kochałżem cię zaraz za pierwszym weyrzeniem?

E L I Z A.

Ale ia Wac Pana, czy mnie kochasz czy nie kochasz; bądź pewien, że cierpieć nie mogę.

D A M O N.

Są to tylko słowa: ale serca twoiego zawsze pewny iestem, i wiem, że inaczey mowi za mną.

E L I Z A.

Otoż, co mowię, to i czuię.

D A M O N.

Nie tysiąc to razy iuż było powiedziano, wszelako ia temu nie wierzę.

E L I Z A, (*na stronie.*)

A to iest ostatnia impertynencya! Czyż można tak daleko być zaufanym w sobie!

D A M O N.

Ale Wac Panna chciey tylko weyrzeć w siebie, i zastanowić się nad tym co czuiesz.... Cóż to! Pani, widzę, milczy?

E L I Z A.

Gaday Wac Pan, ile mu się podoba, przekonać mnie iednak nie potrafisz. Nie odmówiłamże mu iuż tyle razy? nie pokłóciłamże się kilkakrotnie?

D A M O N.

Zeby się znowu pogodzić.

E L I Z A.

Otoż poraz ostatni mówię, że się nie zgodzę nigdy.

D A M O N.

Mnie się zaś zdaie, żebyś znowu rada dobrze być zemną. Mimo te wszystkie wstręty i niestałość, znam, że mnie kochasz. Nieba same zdaią się mnie przeznaczać dla niey. Potrzeba być takim, iakim ia iestem, aby się odważyć na uskromienie serca twoiego, Elizo, przez stateczną miłość; aby sobie dać czas do przeświadczenia się, że ieśli mi co przykrego wyrządzasz, nie czynisz tego szczerze, ale owszem, że masz serce dobre, łagodne i wierne, choć nieco dziwactwu podległe. Ale to wszystko, bądź pewna, więcey dodaie ci wdzięków.

E L I Z A, (*na stronie.*)

Prawdziwie, nie wiem gdzie iestem. Postawa i upewnienia iego... (*do Damona, który iey całuie rękę.*) E ty! nie dobry! zawsze nademną tryumfować musisz.

SCENA IX.

ARYST, MELISSA, ELIZA, DAMON.

ARYST, (do Melissy.)

ALE nie przykrz mi się iuż więcey. Czyń tak iak żądam, uspokoy się i nie płacz.

MELISSA.

Mogęż milczyć i być spokoyną w tym czasie, kiedy mam doznać tak wielkiego nieszczęścia.

ARYST.

Już widzę, że zostanę bayką całego miasta!

DAMON.

Ocóż to Wac Państwu idzie ?

MELISSA.

Stryi iego przyiechał.

ELIZA.

Wielkie nieszczęście! otoż ia w momencie znalazłam sposob pozbycia go się.

ARYST.

Naprzykład ? słuchamy.

ELIZA.

Powiedzieć mu krótko, a węzłowato, żeby zaraz ztąd wyiechał z lichem, i dał wam pokoy.

ARYST.

Właśnie też nie lepszey rady spodziewałem się po takiey głowie.

MELISSA.

Ale czy wiesz, ty siostro, że stryi chce go ożenić?

ELIZA, (śmieiąc się.)

Zapewne? to nieszpetny kawałek.

MELISSA.

Co większa...

ELIZA.

Jeszcze co nowego?

MELISSA.

Poiechał po tę przeznaczoną dlań Panienkę; dziewczynę bardzo piękną, bogatą, i nie maiącą więcey lat trzynastu.

SCENA X.

FURYBURSKI, ARYST, MELISSA, ELIZA, DAMON.

FURYBURSKI.

OTOZ iuż przyiechałem, kochany synowcze. Nie traćmy więc czasu; chodź zamną przywitać swoię przyszłą żoneczkę. (*postrzegaiąc Elizę.*) A Wac Panna to ieszcze tu iesteś? iam rozumiał, że iuż minełyście Węgrow.

ARYST, (do Melissy.)

Mow, że ieszcze odłożony wyiazd.

MELISSA.

Dla czegoż mam tak mòwić.

A R Y S T.

Potym ci powiem.

F U R Y B U R S K I, (*do Arysta.*)

Mówiłeś mi Waść, zdaie mi się, że te Panny są z Podlasia, i że miały wyieżdżać na wieś?

D A M O N.

Pewny przypadek ie zatrzymał. Ale naydaley iutra wyiadą.

F U R Y B U R S K I.

Im prędzey, tym lepiey. Proszę, Moście Panny, więcey tu nie być, bo was nie cierpię.

E L I Z A, (*do Furybürskiego żwawo.*)

Bądźże Wać Pan pewien, że i my go nie więcey lubiemy. Nayniższa sługa (*do Arysta.*) Proszę uczynić koniec tey taiemnicy, bo nareszcie nie będę milczała.

SCENA XI.

FURYBURSKI, ARYST.

F U R Y B U R S K I.

COZ to maią znaczyć te iey słowa?

A R Y S T.

Nic.,. cała rzecz, że niekiedy rozum iey...

SCENA XII.

FURYBURSKI, ARYST, LOKAY.

LOKAY.

IAKIS Pan Potulnicki wſzedł do kamienicy, i proſto tu idzie.

ARYST.

Co ſłyſzę! moy ociec!

LOKAY.

Przynaymniey, że mi tak mówił.

ARYST, (*na ſtronie.*)

O Nieba!

FURYBURSKI.

Kto! ten ſtary głupiec brat moy?

ARYST.

Proſzę Mości Dobr: nie lżyć moiego oyca.

FURYBURSKI.

Cóż to Waści ma obchodzić?

ARYST.

To właśnie oſobliwſze pytanie! alboż nie powinienem być dla niego z reſpektem i przywiązaniem?

SCENA XIII.

POTULNICKI, FURYBURSKI, ARYST.

POTULNICKI, (*ściſkaiąc Aryſta.*)

IAKZE ſię cieſzę, ſynu moy, że cię zdrowo oglądam.

ARYST.

Daruy mi, oycze, że nie wiedząc o WacPana Dobr: przybyciu, nie uprzedziłem go z oświadczeniem powinney czci i poſzanowania, które mu powinienem.

FURYBURSKI, (*do Potulnickiego.*)

Po cóż tu Waść przyiechałeś?

POTULNICKI.

Alboż nie godzi mi ſię odwiedzieć ſyna?

FURYBURSKI.

Obeſzłoby ſię tu bez Waści (*do Aryſta.*) Zapewne przyiechał hołyſz, żebyś mu co podetknął.

ARYST, (*do Furyburſkiego.*)

Zawſze mi ieſt miła bytność oycowſka. Ale i Wac Pan Dobr: czy powinieneś tak martwić ſtarſzego brata ſwoiego? Prawdziwie, ſerce moie mocno tym dotknione zoſtało. Proſzę pamiętać na to, że ieſt moy ociec, i że nie mogę nic dla niego uczynić nadto, dla uiſzczenia ſię w obowiązkach poczciwego ſyna.

PO-

POTULNICKI.

I ciebie za ſyna, i Wac Pana za kochanego brata uznaię; i mimo tę wſzyſtkie przycinki, wzywam nieba, aby wam obom błogosławić raczyło.

FURYBURSKI.

Tylkoż to ſię podobno wſzyſtko u Waści na błogosławieńſtwie kończy.

ARYST, (do Furyburſkiego.)

Wierż mi Wac Pan Dobr:, że drożey to cenię, iak cały iego maiątek. Proſzę być z innym względem dla moiego oyca, abym ia nareſzcie nie ubliżył winnemu dla Wac Pana Dobr: uſzanowaniu.

FURYBURSKI.

Nikczemny filozofie! gdzieżeś podział rożum? Cóż to za ociec, ktòry nie tylko nic ci nie daie, ale ieſzcze przez lat dzieſięć ty go żywiſz?

POTULNICKI.

Słuchay, bracie! więcey ſię z tego chlubię, że żyię z łaſki ſyna, niż gdyby on żył z moiey. Miło mi ieſt widzieć go na ſtarość moią podporą. Ale do czego te gadanie. Tak ſzlachetne czucie nie wiele podobno czyni wrażenia w tak twardym ſercu...

FURYBURSKI.

Ale za cóż Waść zoſtałeś hołyſzem?

POTULNICKI.

Bom zawſze kochał honor.

FURYBURSKI.

Honor, honor! czcze słowo, które nic nie znaczy.

POTULNICKI.

Prawda, u takich ludzi, iak Wac Pan, który iednym tylko zyſkiem powoduieſz ſię. Tak ieſt, kochałem honor, znałem ſię zawſze na ſobie, nie ſzedłem nigdy podłością, w powſzechnym nieſzczęściu partykularnych nie upatrywałem zyſków, ſłużyłem nie raz za właſnym wydatkiem w funkcyach publicznych. Mogąż być pięknieyſze ſtraty, godne dobrego republikanta?

FURYBURSKI.

A iaż to mam być iuż bez uczciwości dla tego, że mam pieniądze? a ieſzcze, kiedy zechcę temi pieniędzmi głodny Waścin podſycić honor, ożenić iego ſyna i cały mu moy zapiſać maiątek? Cóż na to powieſz, Moſpanie kochaiący honor?

POTULNICKI.

Serce dobre lubi być wdzięcznym; chętnie zatym przyimę Wac Pana łaſki. Z kimże to naprzykład chceſz poſwatać moiego ſyna?

FURYBURSKI.

Z dziewczyną piękną i bogatą. Jeſt to moia paſierżbica.

POTULNICKI.

Córka tego oyca poczciwego, którego dotąd bez żalu nie wſpominam! Bracie nieoſzacowany! kochany ſynu! iakichże nie doznaię łaſk Nieba.

ARYST.

Jednak wielkie ieſzcze w tym zachodzą trudności.

POTULNICKI.

Zadney nie ma, ſynu moy. Kontent ieſtem zupełnie z tego poſtanowienia.

ARYST.

Ale Panienka bardzo młoda.

FURYBURSKI.

Cóż u kata! pierwſzy raz dopiero ſłyſzę, żeby kto nie chciał młodey.

POTULNICKI.

Przywidziało mu ſię chyba. Idźmy co prędzey czynić przygotowania do weſela.

ARYST, (*na ſtronie.*)

Jeſzcze też braknęło oyca do dokonania we mnie roſpaczy!

Koniec Aktu trzeciego.

A K T IV.

S C E N A I.

A R Y S T ſam.

COZ mam przedſiębrać w tak ciężkim utrapieniu moim! Tyſiąc myśli ſnuie mi ſię razem, iedna drugą zbiia i wątli, rozum mnie odſtępuie, pomieſzanie w ślady idzie za mną... O nieſzczęśliwa ſytuacyo! gdzież ieſtem! i co pocznę dla ulżenia troſkom moim!

S C E N A II.

ARYST, POTULNICKI.

POTULNICKI.

SZUKAŁEM cię, moy ſynu.

A R Y S T.

Cóż mi W. Pan Dobr: roſkażeſz?

POTULNICKI.

Dla czegoż to nas zostawiłeś.

ARYST.

Słaby troche iestem.

POTULNICKI.

Uważałem przez cały czas obiadu, że się nic nie bawiłeś... Gdzież ten twoy wesoły humor, który cię tak miłym czynił w posiedzeniach? wierz mi, że stryi nawet, choć tak nieczuły, żałuie cię. Przyznayże mi się, co ci takiego? czy masz iakie umartwienie?

ARYST.

Nie mam żadnego.

POTULNICKI.

Zmyślasz, synu. Jeżeli ci moia bytność nie miła, powiedź; wyieżdżam natychmiast.

ARYST.

Bytność Wac Pana Dobr: nie miła mi? o Boże! czyż można mnie bardziey umartwić! Gdyby to mnie nie cieszyło, mogłżebym co mieć w święcie miłego dla siebie?

POTULNICKI.

Wierzę ci, moy synu. Ale zkąd ten tak wielki smutek? Zapewne musisz mieć iakie umartwienie?

ARYST.

Może.

POTULNICKI.

Za cóż się taisz? czyż nie iestem twoy ociec, a do tego i przyiaciel? Nie inaczey, iestem twoy przyiaciel, boś się stał godnym przyiaźni przez osobliwszą dobroć serca swoiego.

A R Y S T.

Wſtydziſz mnie Wac Pan Dobr: Wſzelako choć to wſzyſtko, co czyniłem, wypływało zobowiązkow moich, wybacz iednak, że ſię za to chcę dopomnieć o nadgrodę.

P O T U L N I C K I.

Mow, proſzę cię. Czegoż dla ciebie uczynić nie ieſtem gotow!

A R Y S T.

Otoż proſzę, abyś mi W. P. Dobr: o tym nie wſpominał nigdy.

P O T U L N I C K I.

Niechże i tak będzie. Przyimuię ten choć ciężki obowiązek, ale pod kondycyą, że mnie odtąd ſwoim uczyniſz wiernkiem.

A R Y S T.

Dobrze; dogodzę w tym żądaniu W. P. Dobr: Dobroć ſerca iego... Ale cóż, kiedy przez reſpekt dla oyca nie mogę być śmiałym.

P O T U L N I C K I.

Także to z przyiacielem poſtępować należy?

A R Y S T.

Ah! żałuy mnie Wac Pan Dobr: raczey, a nie gań.

P O T U L N I C K I.

Pewnie tego pomieſzania małżeńſtwo ieſt przyczyną?

A R Y S T.

Jakie małżeńſtwo? (*na ſtronie*) O nieba! czy tylko iuż nie wie, żem ſię ożenił.

P O T U L N I C K I.

To ſamo, o ktorym teraz ſtryi myśli?

A R Y S T.

Prawda, że mnie nieco zaſtraſza.

POTULNICKI.

Poſtrzegałem ia to dobrze i milczałem. Ale mów daley, i przyznay mi ſię ſzczerze, czy nie kochaſz inney?

ARYST.

Kocham.

POTULNICKI.

Pewnieś iuż z tą kochaną oſobą wſzedł w iakie obowiązki.

ARYST.

I bardzo daleko.

POTULNICKI.

Ta przeſzkoda martwi mnie wprawdzie; ale mów daley.

ARYST.

Nie mogę.

POTULNICKI.

Ale ia tego żądam . . . Cóż to, chceſz przede mną ukryć łzy ſwoie? Czegoż mi padaſz do nog? Wſtań, na wſzyſtko pozwalam, i moie daię ci błogoſławieńſtwo. Oſoba, którą kochaſz, muſi być godna ciebie.

ARYST.

Nie inaczey, oycze moy.

POTULNICKI.

Ktoż ieſt ona?

ARYST.

Zona moia.

POTULNICKI.

Twoia żona? ożeniłeś ſię?

ARYST.

Ożeniłem ſię ſekretnie.

POTULNICKI.

Przyimuię tę wiadomość, raczey iak przyiaciel, nie iak ociec. Ale dla czego taiłeś się przedemną?

ARYST.

Idąc za miłością nie za interessem, z kochania iedynie ożeniłem się. Zona moia nie miała nic za sobą tylko piękność i cnotę. Ten wybior mogłby się był W. Panu Dobr: nie podobać; a zatym chowałem go w sekrecie.

POTULNICKI.

Maż ona przecie edukacyą, rozum, cnotę, statek?

ARYST.

Te właśnie są iey zalety.

POTULNICKI.

Więc ożeniłeś się dobrze.

ARYST, (*padaiąc mu do nog.*)

Ah! nayukochańszy oycze, zawsze po tobie tak szlachetnego spodziewałem się sentymentu.

POTULNICKI.

Gdzież twoia żona mieszka?

ARYST.

W tym samym domu, przy iedney uczciwey Pani, razem ze swoią siostrą, ktora niebawnie ma poyść za Damona.

POTULNICKI.

Idzie więc teraz o utaienie tego przed stryiem, bo zapewne mu się to nie podoba, i niezechce ci nic zapisać.

ARYST.

To prawda.

POTULNICKI.

Udawayże, (a ia ci dopomogę ile możności;) że zezwalasz na to małżeństwo z iego pasierżbicą. Ale proś go o zwłokę. Ten czas wystarczy...

ARYST.

Rozumiem.

POTULNICKI.

Baczne rozrządzenie często naytrudnieysze godzi rzeczy. Ale oto i on nadchodzi. Czyńmy wspolnie.

SCENA III.

FURYBURSKI, POTULNICKI, ARYST.

FURYBURSKI.

CO to u kaduka! czy drwicie sobie, dobrodzieie? Mnie zaś samego odeyść u stołu, nie skończywszy obiadu? (*do Arysta.*) Gdybyś Waść był moim synem!...(*do Potulnickiego.*) Ale diabli potym, że Waścin. Właśnie kubek w kubek tatuś... omal mnie apoplexya ze złości nie porwała.

POTULNICKI.

Wyrazy twoie, bracisżku, troche są za mocne.

FURYBURSKI.

Kiedy się wyśliznęły, cofać ich, upewniam, nie myślę.

POTULNICKI.

Niechże i tak będzie. My iednak choć tu z synem moim iesteśmy...

FURYBURSKI.

Alboż ia temu winienem, że do Waści podobny?

POTULNICKI.

Trzeba iednak...

FURYBURSKI.

Trzeba, żeby znał grzeczność, żeby był obyczayniey szym, i ze mnie zbierał wzory.

POTULNICKI.

Bez wątpienia.

FURYBURSKI.

Cóż to pięknego nudzić się u stołu, i wstać naypierwey, nie czekaiąc, ażby wstali starsi...

ARYST.

Ale niech mnie to usprawiedliwi przed Wac Panem Dobr: że...

FURYBURSKI.

Zostawić stryia, a ieszcze takiego, iak ia stryia, aby się sam ieden zapił...

POTULNICKI, (do Arysta.)

Prawda, źle zrobiłeś...

FURYBURSKI.

Kiedy ia piię, trzeba mi pomagać, bo inaczey na złość się upiiam.

POTULNICKI.

Mówiliśmy bracîszku o tym postanowieniu Arysta...

FURYBURSKI.

Ma Jmć fryształ do iutra, albo kwita ze wszystkiego; i szeląga mu nie zapiszę.

A R Y S T.

Ale racz Wac Pan Dobr: pozwolić, żeby ſię to odwlekło na nieiaki czas, i . . ,

F U R Y B U R S K I.

Darmo, darmo, iuż klamka zapadła.

P O T U L N I C K I.

Ale do czegoż ſię, braciſzku, tak śpieſzyć?

F U R Y B U R S K I.

Naymnieyſzey zwłoki nie cierpię. Jakże? chcecie, czy nie?

A R Y S T, (na ſtronie.)

Cóż za nieznośny człowiek.

F U R Y B U R S K I.

Rodzice pewnego Szambelana, człowieka maiętnego i poważanego u dworu piſzą co poczta do moiego ſzwagra o przyspieſzenie małżeńſtwa tey Panienki. Do tych czas ani ſłuchać chciałem o tym: ale, ieśli Aryſt nie uwinie ſię, wydam ią za Szambelana.

A R Y S T.

Kiedy tak dobra partya wydarza ſię dla paſierżbicy W. P. Dobr:, zdawałoby mi ſię iey nie upuſzczać . . .

P O T U L N I C K I, (przerywaiąc Aryſtowi.)

I owſzem, nie. Syn moy chce być zupełnie Wac Panu poſłuſznym, ale dla zaczęcia i ſkończenia rzeczy przyzwoicie...

F U R Y B U R S K I.

Co mi Waść zawſze z ſwoiemi morałami. Ja chcę...

P O T U L N I C K I.

Owſzem ia mówię, że Wac Pana intencye ſą bardzo dobre, i że moy ſyn nieprzyzwoicie czyni, gdy ſię ich nie chwyta, ale cóż! kiedy to filozof.

FURYBURSKI.

Ta też to iego filozofia w niecierpliwość mnie wprowadza. Powiedźcie mi, co to ſą te filozofy, kiedy nie wierutne połgłowki i gaduły, co prawią ni to ni owo, co, kiedy, dzień, chcą we wſzyſtkich wmowić noc? słowem, co gadaią wiele nic nie mowiąc, byleby tylko zadziwiano ſię nad niemi.

A R Y S T.

Miarkuy W. P. Dobr: gniew ten prędki, wynikaiący z fałſzywego rozumienia. Jeſt to obraz raczey mędrka, nie filozofa.

FURYBURSKI.

To wor, to torba.

A R Y S T.

Nie, Mości Dobr: kto filozof, tym ſamym nie gaduła. Naykrotſze wyrazy wiele znaczenia maiące ſą wyrazy filozofa. Wyſzukiwanie prawdy ieſt iego celem, chwalebne czyny zamiarem, ſtawanie ſię dobrym i gorowanie nad namiętnościami zwykłym ćwiczeniem. Filozof na tym ſwoią zakłada chlubę, aby nie słowy, lecz uczynkami dowodził rzeczy. Nie ſmaży głowy nad tworzeniem nowych ſyſtematow, ieſt dobrym i ſprawiedliwym; pokornym w ſzczęściu, wielkim w przeciwnościach, nayduiącym całą roſkoſz w cnocie, kontent nay więcey z lubey ſwobody, lituiący złośliwych, brzydzący ſię wyſtępkiem. Ten ieſt obraz prawdziwego filozofa. Tych gdy nie ma zalet, przywłaſzcza ſobie tytuł, nie poſiadaiąc iſtoty.

FURYBURSKI.

A Waść czy ieſteś takim.?

A R Y S T.

Staram się dopiero o te doskonałości.

P O T U L N I C K I.

A Widzisz, bracie? Im lepiey moiego syna poznasz, tym więcey znaydziesz go godnym szacunku. Jest to iakem mówił filozof; i dla tego chciałem Wac Panu przełożyć, że co się tycze małżeństwa, postąpi w nim iak człowiek mądry. . . .

F U R Y B U R S K I.

Którym Waść nie iesteś. Ja zaś mówię, że potrzeba być głupim, żeby się dać prosić dla dziewczyny młodey, ładney, bogatey, cnotliwey i zacnie urodzoney.

P O T U L N I C K I.

Ale day mu W. Pan czas do namyślenia się

F U R Y B U R S K I.

Nad czym się tu u stu katow namyślać, kiedy partya tak wyśmienita!

A R Y S T.

Ale pasierżbica W. P. Dobr: mnie nie cierpi.

P O T U L N I C K I.

Pozwolże Wac Pan, niech się pierwey Pannie zasłuży.

F U R Y B U R S K I.

Niechże i tak będzie.

P O T U L N I C K I.

Potym zaś . . .

F U R Y B U R S K I.

Na to będzie dosyć iednego dnia.

A R Y S T.

Zebym w dniu iednym mogł pozyskać serce, a ieszcze tak mi przeciwne? Nie będzie to, upewniam, w moiey możności.

POTULNICKI.

Dzień ieden! cóż to! chyba żartuiesz? bracie.

FURYBURSKI.

Czyż na to więcey potrzeba.

POTULNICKI.

Przynaymniey dwa lub trzy miesiące.

FURYBURSKI, (*rozgniewany odchodząc.*)

Będzie Szambelanową!

POTULNICKI.

Zaczekayno W. Pan.

FURYBURSKI.

Jakże! poraz ostatni pytam Was, czy chcecie, czy nie chcecie?

POTULNICKI.

I owszem pragniemy tego serdecznie, ale...

FURYBURSKI.

Otoż wam pozwalam tydzień.

ARYST.

Ale to być nie może w tak krótkim czasie.

POTULNICKI, (*do syna.*)

Wszelako trzeba przystać, i starać się o pozyskanie serca Panny.

FURYBURSKI.

Za tydzień wesele.

ARYST.

Za tydzień?

FURYBURSKI.

Ale to iuż bez żadney wymówki, albo drogo przypłacisz swoiego głupstwa.

SCENA IV.

POTULNICKI, ARYST.

POTULNICKI.

Skorośmy na nim wymogli tyle, ſpodziewam ſię, że dokażemy i reſzty. Ale ktoby był ten Szambelan? ... Byle ſię tylko brat uſpokoił, muſzę go badać, a potym, chwaląc mu tę partyą, może namówię do chwycenia ſię oney. Skoro tego dokażę, nic ci więcey nie będzie na przeſzkodzie do zupełnego ſzczęścia i ukontentowania. Nie obawiaiąc ſię utracenia znaczney po ſtryiu ſukceſſyi, będzieſz mogł obiawić, żeś żonaty.

A R Y S T.

To być nigdy nie może, Mości Dobr:

POTULNICKI.

Dla czego?

A R Y S T.

Przyznaię ſię W. Panu Dobr:, że ſzczęście moie zawiſło na zachowaniu ſekretu.

POTULNICKI.

Ale ſkoro ſtryi będzie przebłagany, czegobyś ſię miał więcey obawiać?

A R Y S T.

Nie tak ia ſtryia, iako raczey powſzechności obawiam ſię.

POTULNICKI.

Powſzechności! Cóż to! czy poiąłeś iaką żonę bez urodzenia, albo też nieſławną kobietę?

ARYST.

Owſzem i ſzlachetnie urodzoną, i piękną, i cnotliwą.

POTULNICKI.

Czegoż ſię iey wſtydziſz?

ARYST.

Boię ſię ſzyderſtwa tych ſamych, ktòrych ſam nie dawno wyſzydzałem. Poźniey czy prędzey przezwyciężę ten wſtyd fałſzywy, ale teraz zmiłuy ſię W. Pan Dobr: niech to będzie w ſekrecie. Naybardziey ſtraſzny ieſt dla mnie Szambelan Dwornicki, wielki żartowniś, ktòry ſię kocha w moiey żonie.

POTULNICKI.

Kocha ſię w twoiey żonie?

ARYST.

Tak ieſt. Uważ Wac Pan Dobr: bidną ſytuacyą moią. Wolę patrząć na iego umizgi, z ktòremi do moiey natrąca ſię żony, iak wyznać to, że ieſtem iey mężem.

POTULNICKI.

To właśnie rzecz nowa i oſobliwſza!

ARYST.

Może do tego nierozſądza. Z tym wſzyſtkim pozwol W. Pan Dobr: mieć to w ſekrecie, pòki ſię nie ożeni Szambelan, i ia nie wyiadę.

POTULNICKI.

Pocòż z tąd wyieżdżać?

ARYST.

Koniecznie naſtąpić to muſi; nie mam albowiem tyle czoła, abym ſię znaydował w liczbie mężow Warſzawſkich.

POTULNICKI.

Prawdziwie nie wiem, ſynu, czy cię ganić, czy litować potrzeba. Z tym wſzyſtkim przez przywiązanie, z którym ieſtem dla ciebie, póydę za twoim przywidzeniem, i ile możności pomagać będę.

SCENA V.

ARYST ſam.

TERAZ potrzeba mi tylko Meliſſę i Elizę przygotować do tego.

SCENA VI.

ARYST, MELISSA, ELIZA, REGINKA.

ELIZA.

SPOSOB poſtępowania iego uraża mnie; i muſzę go nauczyć rozumu.

MELISSA.

Ale nie trzeba tak porywczo czynić. Kto wie? może on o Wac Pannie myśli?

ELIZA.

Czy mnie kocha, czy nie, mało dbam oto; dość, że go nie cierpię i nienawidzę. Alboż ia to iuż mam być brakiem?

A R T S T.

O kimże to mòwicie?

M E L I S S A.

O Szambelanie.

E L I Z A.

Kochać mnie tylko na złość drugiey! śliczne kochanie. Chciałabym wiedzieć, czy też to bez ostatniego głupstwa można Wac Pani dać nademnie preferencyą. Na tę rzecz, trzeba być albo waryatem, albo filozofem.

A R T S T.

A zawsze te docinki! Cóż ona w tym winna, że się komu zda być od W. Panny piękniey-szą.

M E L I S S A.

Alboż szukałam kiedy miłośnikòw? lub ich od W. Panny odciągałam? Jeżeli chcesz, żebym się w miarę twoiey piękności przyznała za straszńicę, za brzydką, a nareszcie za szkaradną; gotowam i to uczynić przed kim zechcesz, i ile razy zechcesz.

E L I Z A.

Co tak, tobyś nam obom uczyniła sprawiedliwość; ale ia tego nie wyciągam. Każdy, kto ma oczy, smak, rozum; potrafi i bez W. Pani łaski rozeznać w moiey twarzy i ułożeniu całego ciała to wszystko, co mam od niey pięknieyszego. Co do Szambelana, nic pewnieyszego iak to, żem mu się sto razy więcey, niż W. Pani, podobać była powinna: a że będąc człowiekiem dworskim i dobrze wiadomym galanteryi, śmiał ią pokochać; nie wypowie-

dzianie mnie to martwi. Więcey mu iednak ieſzcze mam za złe to, iż na złość W. Pani; żeś mu wzaiemną być nie chciała; oświadczył ſię mnie, dokazał ſwego, i zaniechał. Chyba, że żyć nie będę, to ſię nie pomſzczę.

A R Y S T.

Jakże to naprzykład.

E L I Z A.

Powiem mu, że go nie lubię.

A R Y S T, (*drwiąc.*)

Mocno go tym zmartwiſz.

E L I Z A.

Ze ieśli on na złość tylko drugiey oświadczył mi ſwoie kochanie; ia także na złość drugiemu ſłuchałam iego oświadczenia.

ARYST. (*śmieiąc ſię.*)

Bravo.

E L I Z A.

Ze moia ſioſtra nie tylko go nie kocha, ale owſzem nienawidzi.

A R Y S T, (*kontent.*)

Bravo, bravo.

E L I Z A.

I, że ieſt Wac Pana żoną.

ARYST, (*ſtrwożony.*)

Zmiłuy ſię, nie mow mu tego...

M E L I S S A.

Ale przebog! co za niewczeſny upor Wac Pana! Stryi i ociec chcą go żenić; możnaż ſię dłużey taić?

A R Y S T.

Proſzę być ſpokoyną. Znaydę ia ſpoſob wywinąć ſię z tego.

MELISSA.

Jakże to być może, nie powiedziawszy, że iestem W. Panna żoną.

ARYST.

Proszę, żebym był słuchany.

MELISSA.

Bardzo dobrze. Usłucham Wac Pana, ale pod kondycyą, aby Szambelan nigdy u mnie nogą nie postał.

ARYST.

Czy ia mogę mu zabronić! iakiżbym dał pozor rzeczy? iaką racyą?

MELISSA.

Tę racyą, że iestem Wac Pana żoną.

ARYST.

Niechże bog broni. Wolałbym nayfroższą torturę, iak słowo rzec o tym.

MELISSA.

Przynaymniey pozwol mi, niech ia go o tym uwiadomię.

ARYST.

Właśnie, iak gdyby to nie było iedno. Skoroby mnie zobaczył, pewien iestem...

ELIZA.

Wielkie nieszczęście, że się z Wac Pana śmiać będzie! Mów W. Pan co chcesz, ia iednak poznaię, że się wstydzisz swoiey żony.

MELISSA.

Myśl Wac Panna o sobie, bo oto Szambelan idzie.

ELIZA.

Wszystkie mnie biorą złości na ten widok przemierzły. Nie władnę moią passyą.

ARYST.

Darmo! widzę, że iuż moia godzina nadeszła

SCENA VII.

MELISSA, ELIZA, ARYST, SZAMBELAN, REGINKA.

SZAMBELAN, (*przypatrzywszy się im czas nieiaki.*)

Im pilniey w was wpatruię się, tym więcey poznaię, że iestem przyczyną ich pomieszania. (*patrząc na Melissę.*) Jedna spuszcza oczy, i zdaie się być pomieszana, (*na Elizę,*) druga daie poznawać, że ią moia bytność uraża. Reginka złośliwe pokrywa uśmiechy. Strwożony Aryst, głęboko zamyśla się: zgoła, każda postawa ma w sobie coś dobitnego, wyrażaiącego, i tkliwego. Prawdziwie, obraz ten czterech osob osobliwie mnie cieszy.

REGINKA.

To prawda. Przemowićby nam tylko potrzeba.

SZAMBELAN.

Jakże? nie skończemy tey niemey zabawy. (*do Melissy*) Pani! ostatni raz proszę cię; racz mnie posłuchać. Nie przychodzę tu więcey z oświadczeniem moiey miłości: odrzucenie moie, znam, że było sprawiedliwe.

ARYST, (*na stronie.*)

Zginąłem! Zapewne się dowiedział o moim ożenieniu.

MELISSA.

Nie badam przyczyn tego przedſięwzięcia. Kontenta ieſtem, że mnie Wac Pan więcey nie kochaſz, dawne w tym niſzczaſz żądania moie; ieżeli zaś moia ſioſtra tę w nim ſprawiła odmianę, nie mogę mieć milſzego nadto wyznania. (*odchodzi.*)

SCENA VIII.

ARYST, SZAMBELAN, ELIZA, REGINKA.

ELIZA.

IEdnakże, ieżeli prawda, iak powinnam rozumieć, że moc wdziękow moich odciągneła Wac Pana od iey kochania; wiedz o tym, paniczu, że bardzoś ſobie źle poradził. Naucz ſię, że ia nie ieſtem brakiem; żeby mnie dopiero kochać, będąc wzgardzonym od drugiey. Kłaniam. (*odchodzi.*)

SCENA IX.

ARYST, SZAMBELAN.

SZAMBELAN, (*śmiejąc się.*)

ALE iak zażartowała ze mnie!

ARYST.

Jeszczeby można znaleść sposob pogodzenia was.

SZAMBELAN.

Day pokoy, przyiacielu, niech sobie udaie srogą, ia, ieśli o kim myślę, zapewnę nie o niey.

ARYST.

Cóż to? czy nie myślisz się nareszcie ożenić?

SZAMBELAN.

Tak, przyiacielu, myślę: a nawet chcę to rozgłosić, żeby się żartownisie naśmiawszy wcześnie nie mieli z czego szydzić po weselu. Co większa, sam na siebie napiszę kilka piosnek szydnych, i dam drugim ton żartowania ze mnie. Tak, tak Aryście.

ARYST.

Zamysł ten twoy śmiały iest wprawdzie, ale niemożna mówić, żeby był nierostropny.

SZAMBELAN.

Otoż widzisz, że go się nie lękam. Ten proiekt zapewne iest lepszy, niż, żeby z nas, naprzykład, który, chciał się taić z ożenieniem dla uniknienia niezbytych w tym razie szyderstw. Ty! (mowmy tylko dla podobieństwa) ty, który tak byłeś surowym dla płci, nie prawdaż,

że gdybyś iakowym przypadkiem ożenił się, i chciał to taić; nie udawałżebyś głupiey roli?

A R Y S T.

I iak ieszcze! Ale powiedz mi, która iest twoim kochaniem?

S Z A M B E L A N.

Dziecko dopiero trzynaście lat maiące. Dziwi cię to zapewne? dziwnieysza to iednak ieszcze, że z tym dzieckiem mam się żenić przez plenipotencyą. Stryi moy, po którym wielkich spodziewam się pieniędzy, iuż niedopiero sekretnie traktuie o to małżeństwo, i chce, żeby bez odwłóki swoy wzieło skutek, iedna tylko ieszcze zachodzi trudność, ale i tę ułatwiemy.

A R Y S T.

Jaka trudność?

S Z A M B E L A N.

Ten, od którego zezwolenia zawisła Panna, nie chce ią żadną miarą wydać za mnie.

A R Y S T.

Co zaś znowu...

S Z A M B E L A N.

Upewniaią mnie iednak, że brat iego starszy, człowiek bardzo rostropny i poczciwy, zechce go nakłònić. Właśnie, dopiero mi o tym znać dano.

A R Y S T.

Strasznie mnie to zadziwia! Albo się mylę, albo moy ociec i stryi są te osoby, od ktòrych cały ow interes zależy. Wszakci to idzie podobno o partyą dla mnie przeznaczoną?

SZAMBELAN.

Zgadłeś! Tak nie inaczey. Jesteśmy steraz wspołzalotnicy. Straszny prawdziwie przypadek.

ARYST.

Moy przyiacielu, ustępuię ci iey.

SZAMBELAN, (*uśmiechaiąc się.*)

A! to zbytek wspaniałości przyiacielskiey. Dziewczyna tak ładna!

ARYST.

To prawda, że cud piękności.

SZAMBELAN.

Powiedzże mi, Aryście, maż ona przecie rozum?

ARYST.

I iaki!

SZAMBELAN.

A nie cheesz się z nią żenić?

ARYST.

Nie.

SZAMBELAN.

Prawdziwie wielki z ciebie dziwak! A kiedy twoy stryi cały mi za nią odda swoy maiątek?

ARYST.

Zgoda! niech wszystko zapisuie, byleby mnie dał pokoy.

SZAMBELAN.

Cożkolwiek bądź, mimo tyle pożytkow za pasierżbicą Furyburskiego, żałuię serdecznie Melissy, i wszystkiegobym dla niey odstąpił.

ARYST.

Ja nie wiem coby w tey Melissie mogło się tak bardzo podobać! Przynaymniey ia nie widzę nic w niey osobliwszego.

SZAMBELAN.

Z tym wszystkim iest na ciebie podeyrzenie, że masz lepszy troche gust, niż udaiesz. Ale cóż robić! kiedy iuż ma męża.

ARTYST.

Melissa ma męża?

SZAMBELAN.

Nie inaczey.

ARTYST.

Zartuiesz?

SZAMBELAN, (biiąc go po ramieniu.)

Moy przyiacielu, ani wątpię o tym. Siostra iey i Reginka powiedziały to pewnym osobom, od których ia znowu dowiedziałem się. Co większa, wiadome iest nawet nazwisko iey męża. Mówią, że ma rozum, dobre serce, poczciwość; że iest wielki filozof, ale dziwak, człowiek osobliwszy, wstydzący się swego ożenienia, który nakoniec chce, aby z niego nie szydzono. (*śmieiąc się*) Nie mógłbyś się też naprzykład domyślić, kto to iest?

ARTYST, (zmieszany.)

Tak, tak, troszeczkę.

SZAMBELAN.

Tym lepiey. Jakżem teraz kontent! Powiedz mu odemnie, że iuż wiedzą o iego ożenieniu; niech zatym będzie gotow na wszystkie żarty i wyśmiewania, które go dziś ieszcze potkać mogą. (*wychodzi śmieiąc się.*)

SCENA X.

ARYST.

PRZEBOG! Cóż teraz począć!... zginąłem.! Otoż ten fatalny moment, którego naywięcey obawiałem ſię. Ale cóż! trzeba ſobie ile możności radzić. Oſtatnim dla mnie dziś ieſt środkiem wyiechanie z Warſzawy co nayprędſze.

Koniec Aktu czwartego.

AKT V.

SCENA I.

ARYST, DAMON.

DAMON.

ALE posłuchay mnie tylko.

ARYST.

Daremne twoie wſzyſtkie gadania, co umyśliłem, wykonam.

DAMON.

Cóż to! ſtraciłeś rozum?

ARYST.

Cokolwiek bądź, wyieżdżam.

DAMON.

Smieſzny człowiek! Ale zaſtanow ſię nad tym, co ludzie rzekną?

ARYST.

Niech ſobie gadaią co chcą, byłebym ich nieſłyſzał.

DAMON.

I iakże? ten twoy umyſł podſycany ſtarożytną mądrością, ginie teraz, kiedy go zażyć potrzeba?

ARYST.

Jużem ci nie raz mówił. Dawni mędrce, znaiąc nad ſobą prawo iedynie cnoty, zamiaſt unikania dolegliwości, iako rzeczy przykrey, nie tylko nie mieli doſyć one przezwyciężać, ale owſzem ſami ſię natrącali na nią. Naywiękſze obelgi i wzgardy nie mogły bynaymniey zachwiać ich umyſłem; zgoła, byli iakoby ſkały niepożyte burzą. Zadziwiam ſię nad tak doſkonałym ſtałości przykładem, ale nie mam dość odwagi do ich naśladowania.

DAMON.

Ja ci powiadam, że ich dorównaſz, byleś ſię tylko uſpokoił.

ARYST.

W tak wielkim nieſzczęściu mam ſię uſpokoić? Ah! cóżbyś dał za to, żebyś choć chwilę był w moim ſtanie, wyſtawiony na tyſiąc razow, ſtokroć, niż śmierć, gorſzych? Na te rzeczy trzebaby chyba nie mieć czoła. Ledwie kilku oſobom moie wiadome ożenienie, a iuż widać nawałę piſm ze mnie ſzydzących; cóż to będzie, kiedy ſię dowiedzą u dworu i po kompaniach?

DAMON.

Nie możeſz ſię temu wſzyſtkiemu lepiey złożyć, iak cierpliwością i ſpokoynym umyſłem.

ARYST.

Dobrze to mówić, lecz nie doznawać. Naczytay. (*daie mu piſma.*)

DAMON.

Wielkie rzeczy! ſame igrzyſka imaginacyi i wierutne fraſzki.

ARYST.

Lecz dla mnie śmiertelne ſą razy. Sprawiedliwa powſzechność oddaie mi teraz za ſwoie. Wyśmiewałem pierwey innych; teraz ſam przychodzę na ich pośmiewiſko. Przynaymniey, gdy ſię ſchronię, wſzyſtkiego tym uniknę.

DAMON.

A Meliſſa?

ARYST.

Wkrótce i Meliſſa za mną poiedzie.

DAMON.

Bądź pewien, że nie zechce.

ARYST.

Muſi. Nieſzczęścia moiego ieſt przyczyną iey ſzczebiotliwość: niechże ze mną dzieli troſki onego. Hey! ieſt tam kto?

SCENA II.

ARYST, DAMON, LOKAY.

LOKAY.

MOSCI Dobrodzieiu.

ARYST.

Póydź dowiedź ſię, czy Jmość przyiechała z miaſta?

LOKAY. (*idzie i powraca.*)

O kimże Pan mówi?

ARYST, (*z gniewem po krótkim myśleniu.*)
O moiey żonie.

LOKAY, (*idzie i powraca.*)
Któraż to żona Pańska.

A R Y S T.
Melissa.

LOKAY, (*skrobiąc się w głowę.*)
Mam ci troche rozumu. Wiedziałem ia iuż nie dopiero o tym, chociaż nic Panu nie mówiłem.

ARYST, (*z gniewem.*)
Idźże mi prędzey...

SCENA III.

ARYST, DAMON.

D A M O N.

Dokądże zamyślasz udać się?

A R Y S T.
Mnie, nie komu, wiedzieć o tym.

D A M O N.
Ale ia za tobą wszędzie poiadę.

A R Y S T.
Zostań tu raczey, przyiacielu. Jeśli kochasz Elizę, mogłbyś ią przez oddalenie się stracić.

D A M O N.
Ale czy to być może, żebym ia mogł przezwyciężyć iey dziwactwa?

ARYST.

A R T S T.

Trzeba, żebyś ſię z nią co nayrychley żenił. Miała dotąd od ciebie wſtręt, iak od nieznaiomego; więc obiaw iey ſwoie urodzenie i ſtan.

D A M O N.

Ile że teraz iuż mogę. Wiadomo ci, że wdawſzy ſię w pewny intereſſ ſzczegulnie przez punkt honoru, muſiałem utaić imie i kondycyą moią. Dzięki bogu, brat moy wſzyſtko to miał iuż zakończyć, iak mi donoſi ieden przyiaciel z Piotrkowa; nie maiąc zatym przyczyn dalſzego taienia ſię, obiawię kto ieſtem. Ale i ty, proſzę cię, zoſtań przynaymniey do iutra, abym cię mogł mieć za świadka.

A R T S T.

Dla Boga! poſtrzegam, że idzie Meliſſa. Otoż to teraz twoiey trzeba mi przyiaźni. Wſpomagay mnie, proſzę cię.

D A M O N.

Chętnie bardzo. Cóż mam czynić?

A R T S T.

Poydź do mego oyca, oznaym mu o moim zamyśle i namawiay go, aby chciał nań przyzwolić i ſam tu zoſtać dla cieſzenia Meliſſy w moiey niebytności. Czekam twoiego powrótu iak nayrychley.

SCENA IV.

MELISSA, ARYST, ELIZA, REGINKA.

MELISSA.

PRZEBOG! cóż ci to, Aryście? Czegożeś tak pomieszany?

ARYST.

Właśnie wszystkie trzy w czas tu przyszłyście. (*do Melissy.*) Moia żono! iuż się dogodzi Wac Pani żądaniu.

MELISSA.

W czym takim?

ARYST.

Szluby nasze iuż są wiadome. Dzięki staraniom Wac Pani, zewsząd odbieram powinszowania.

MELISSA.

Jabym zaś miała to rozgłosić.? Ah! nieba wzywam za świadka, żem...

ARYST.

Więc taką rzeczą ia się sam zapewne wygadałem; nie wątpię albowiem, że i Reginka była mi posłuszną i Eliza, która tak dobrze milczeć umie, nie powiedziałaby tego przed nikim.

ELIZA.

Wolno Wac Panu żartować, ile mu się podoba, to iednak prawda, żem o tym nie mówiła, iak tylko może przed sześcią, lub siedmią osobami.

REGINKA.

A ia ledwie przed czterema przyiacielkami, które wiem, że milczały, bom ich iak wężow zaklęła na ſekret.

MELISSA.

Ale zaniechawſzy tych żartow, powiedz nam...

ARYST.

Bez żartu, żegnam Wac Panią, i iadę.

MELISSA.

O! nieba. Jażbym na to żyć mogła, Aryście? albo tu zoſtań, albo i mnie weź z ſobą.

ARYST.

Niezabawem po Wac Panią przyſzlę. Mieſzkanie moie ma odtąd być oſobne i dalekie od Warſzawy; ale to na zawſze. Uważ ſobie teraz, czy ci nie będzie przykro.

ELIZA.

I Wac Pani tak daleko chceſz być powolną?

MELISSA.

Tak, powolną. (*do Aryſta.*) Wſzyſtkie mieyſca, byle z tobą, będą dla mnie nader miłe.

SCENA V.

ARYST, DAMON, MELISSA, ELIZA, REGINKA.

DAMON.

MAM ci niepomyślną bardzo donieść nowinę. Widziałem twego oyca i ſtryia, wychodzących z domu Szambelana, gdzie zapewne dowiedzieli ſię o wſzyſtkim. Stryi rozgniewany chce ſkaſſować twoie małżeńſtwo, iako bez wiedzy krewnych uczynione.

MELISSA.

Dla Boga! co mówiſz?

DAMON.

To, co ſłyſzałem.

ARYST.

Cóż na to moy ociec?

DAMON.

Stryi go nie ſłucha i chce koniecznie albo zrobić rozwod, albo cię wydziedziczyć. Teraz oba poſzli, rozumiem, że do Patrona, dla naradzenia ſię względem rozwodu.

MELISSA.

I w tak żałoſnym razie Aryſt mnie opuści!

ARYST, (*z rezolucyą.*)

Nie opuſzczę. Odtąd wſzelka boiaźń moia uſtaie. Niebeſpieczeńſtwo twoie, żono! przywraca mi ſzlachetne męſtwo, które uſzczęśli-

wia ſerca cnotliwe. Idę, i poſtwie ſię nay- większey burzy, ale poſtawię ſię dla zwycię- żenia oney. Niech powſzechność nicuie moie poſtanowienie, niech mnie ſtryi wyidziedzicza; ſkoro do tego przychodzi, że nas chcą rozłą- czyć, nie dbam o nic. Idę natychmiaſt do nie- go, i powiem mu, że daremnie o naſzym my- śli rozwodzie. Pokażę nawet, ſtawiąc ſię mę- żnie zapalczywości iego, że Meliſſa ieſt rzeczą dla mnie naydroższą w świecie.

M E L I S S A.

Ah! teraz cię poznaię Aryście, i nie boię ſię; ale proſzę miarkuy w razie ſwoie zapędy, i ie- go cholerze chciey ulegać.

A R T S T.

Tak też myślę. Wac Pani idź tym czaſem do ſiebie, i nie pokazuy ſię, aż po nią przyſzlę.

M E L I S S A.

O Boże! twoiey wzywam pomocy, nie chciey nas opuſzczać.

S C E N A VI.

DAMON, ELIZA, REGINKA.

E L I Z A.

STAN ich wzbudza we mnie litość, i choć niechętna, żałuię iednak oboyga. Ale iakżem ia niebaczna być tak dobrą, i troſkać ſię o ſioſtrę!

DAMON.

I to Wac Pannę zadziwia?

ELIZA.

Czemuż nie ma zadziwiać? alboż mało przykrości od niey wycierpiałam?

DAMON.

Naprzykład?

ELIZA.

A ieſzcze takich, iakie ſię między ſioſtrami wybaczyć nie mogą.

DAMON.

Jakież przecie?

ELIZA.

Ta naygłownieyſza przykrość, że ſię podobała wielu oſobom, ktòrychbym ia była rada mieć dla ſiebie.

DAMON.

Dziękuię ci, śliczna Elizo za ten ſłodziuchny komplement. Ale ſkoro mnie kochaſz, dla czego mieć za złe ſioſtrze, ieżeli ſię umiała podobać drugim?

REGINKA.

Dla tego, że Wac Pan inaczey, a my inaczey myślemy.

ELIZA.

I W. Pan ieſzcze rozumieſz, że go kocham?

DAMON.

Dziwne bardzo pytanie! Czemuż nie mam wierzyć upewniony o tym nie raz od ciebie ſamey?

ELIZA.

Co za przywidzenie! Szczery z ciebie fantaſtyk. Reginko! czy ia go kocham?

REGINKA.

Jak czasem.

DAMON.

Prawda, że wiele od ciebie dziwactw ucierpiałem Elizo! ale mimo to wszystko przenikam twoie serce, i znam, że będziesz moią żoną.

ELIZA, (do Reginki.)

Ja będę iego żoną? chciałabym to widzieć.

DAMON.

Tak, tak, będziesz moią żoną, i zobaczysz.

ELIZA.

A to kiedy?

DAMON.

Jeszcze dziś w wieczor.

ELIZA, (do Reginki.)

Czy słyszysz? ale to z taką mówi pewnością, że kto inny uwierzyłby temu.

DAMON.

Tak nie inaczey, śliczna Elizo! oczęta twoie wróżą mi, że dziś ieszcze będziesz moią żoną.

ELIZA.

Kiedy tak, to moie oczy kłamią. Patrzay go, co za bezczelność! Mospanie, poznay się na sobie, i bądź pewien, że nie będę żoną, człowieka nie szlachetnie urodzonego.

DAMON.

A gdybyś za mną została, nie tylko szlachetną, ale nadto wysoką Urzędniczką.

ELIZA.

Za Wac Panem, wysoką urzędniczką? nie rozumiałabym... chyba Konsyliarzową.

DAMON.

Otoż mówię, że wysoką, bo pierwszą w moim Woiewodztwie urzędniczką. A kiedy Aryst przyświadczy, czy będziesz temu wierzyć?

ELIZA, (pokrywaiąc ukontentowanie.)

Aryst! Aryst! sama nie wiem co na to odpowiedzieć. Ale dla czegoż Wac Pan taiłeś się dotąd?

DAMON.

Dla ważnych przyczyn, wierz mi.

ELIZA.

Chyba, że Aryst przyświadczy, w tenczas uwierzę, ale potym o tym. Teraz całą myśl moią zaprząta interes siostry... Cóż to tam słychać za hałas.

DAMON, słucha.)

Słyszę stryia Arystowego.

REGINKA.

A wrzeszczy, iak gdyby go kto ze skóry odzierał.

SCENA VII.

POTULNICKI, FURYBURSKI, DAMON, ELIZA, REGINKA.

FURYBURSKI, (do brata.)

Otoż Waść masz wielkiego filozofa! Sliczne ze katy małżeństwo! Gdzież się chowa ten mędrzec, który to nie słowy, ale postępkami dowodzi swoiey filozofii.

POTULNICKI.

Ale moy braciſzku...

REGINKA, (do Elizy.)

Aż mnie mróż całą przechodzi.

E L I Z A.

Zaraz ia mu tu odpowiem.

DAMON, (wſtrzymuiąc ią.)

Zmiłuy ſię, nie urażay go. Niech ſię nahałaſuie do woli. To ſamo może go uſpokoi.

F U R Y B U R S K I.

Niech tonie w rozrzewnieniach, niech uſycha przy ſwoiey Penelopie, ale niech razem wie i o tym, że go wydziedziczam, że cały maiątek zapiſzę temu, kto moią weźmie paſierżbicę.

POTULNICKI.

Jako! ten ſynowiec tak kochany...

FURYBURSKI.

Ten ſynowiec ſzeląga po mnie nie weźmie.

POTULNICKI.

Ale...

F U R Y B U R S K I.

Umrze z głodu, ieżeli nie porzuci żony, i za moią nie póydzie wolą.

POTULNICKI.

Ale czy można tyle wymagać po nim?

FURYBURSKI.

Darmo, darmo; zacząłem rzecz i dokończyć muſzę... Ale oto podobno i ta śliczna lalka, dla którey naſz półgłowek oſzalał.

REGINKA, (do Elizy.)

Wſzak on do Wac Panny idzie.

E L I Z A.

Rozmówię ſię ia tu z nim zaraz.

DAMON, (do Elizy.)

Zmiłuy się, nie urażay go.

E L I Z A.

Ale dla Boga, tylko mi daycie mówić, ia tu w kilku słowach cały zrobię interes.

D A M O N.

Chyba go popsuiesz.

F U R T B U R S K I.

WacPani to iesteś, moia piękna, z którą mowy głupi synowiec ożenił się?

E L I Z A.

Cóżby w tym miało być do przygany? alboż iaka zachodzi nieprzyzwoitość?...

R E G I N K A.

Jak widzę, rozmowa ich będzie żwawa. Naśmieiemy się tu do woli.

F U R T B U R S K I.

Ja tylko te iednę upatruię nieprzyzwoitość, że wasze małżeństwo nic nie waży.

E L I Z A.

A ia mówię, że iest ważne i dobre ze wszystkim.

R E G I N K A.

Wszystkie w nim kondycye są dopełnione, i nic nie zapomniano.

F U R T B U R S K I.

Tylko moiego, i oycowskiego zezwolenia.

E L I Z A.

Czasem się bez tego obeyść można, iak Wac Pan widzisz.

FURTBURSKI, (do Potulnickiego.)

Tam do diabła! co za ięzyk zwrotny.

ELIZA, (do Potulnickiego.)

Zapewne to Wac Pan iesteś teść...

POTULNICKI.

Tak, ieftem ociec Aryfta.

ELIZA.

Profzęż W. Pana, abyś chciał fwoiey użyć powagi. Jeżeli mam wierzyć słowom fyna Wac Pana; ieftes człowiek roftropny; więc zamiaft nicowania prawych związkow, zechcefz owfzem przyzwolić na nie. (*do Furyburfkiego*) Co zaś do Wac Pana, Mofpanie, żeś pięniężny, nie przeto mafz pogardzać, ubogą wprawdzie, ale zacnego urodzenia damą, ktòra domowi ich czyni zapewnie honor przez fwoie związki, i coś ieft lepfzego, niż iego pofierżbica.

FURYBURSKI, (*do Potulnickiego.*)

Taż to kobieta rozumna, roftropna, łagodna i dobra, ktòra przy pierwfzym poznaniu miała mnie zniewolić?

POTULNICKI.

Tak mi fyn moy powiadał. Ale iak teraz widzę, ani wątpić, że wielkie popełnił głupftwo.

FURYBURSKI, (*do brata.*)

Będziefzże mi Waść i teraz iefzcze odradzać rozwod?

POTULNICKI, (*do Elizy.*)

Mościa Pani! bardzo mi fię ton twoy nie podobał; i prawdziwie zaczynam mieć złą o charakterze iey opinią.

ELIZA.

Tym gorzey dla Wac Pana.

POTULNICKI.

W tym razie, oftatnim dla niey byłaby śrzodkiem pokora i uniżenie fię.

FURYBURSKI.

Ale na co te upominania po czasie. Wychodźmy ztąd zaraz, albo nie chcę nigdy więcey z Waścią gadać. A Waść moia piękna, wkrótce dla siebie odbierzesz rezolucyą.

DAMON, (do Elizy.)

A nie mówiłem ia, że to tak będzie? (*do nich.*) Ale proszę uniżenie, chcieycie mnie W. Państwo posłuchać. Straszna tu dopiero stała się omyłka.

FURYBURSKI.

Nie słucham, nie słucham. Możebym się ieszcze tak omamił, iak moy brat; ale kiedy ze mną tak postąpiła zuchwale, rozmówiemy się sądownie. Chodź za mną, bracie. Muszę na moim postawić i rozwod zrobić.

SCENA VIII.

POTULNICKI, FURYBURSKI, ARYST, DAMON, ELIZA, REGINKA.

ARYST.

ROZWODZIC mnie, iest to samo co sztylet utopić mi w sercu.

ELIZA.

Niech, niech sprobuie, zobaczemy.

ARYST, (do oyca.)

I to ieszcze w obecności W. P. Dobr: tym dla mnie pogrożono gwałtem? i W. P. Dobr: masz

słuchać stryia powstrzsiącego na mnie tak niesprawiedliwie? Ah! umrę pierwey, niż żebym mógł mieć takie o tobie, oycze, rozumienie. Znam dobroć charakteru i cnotę twoię! (*do Furybursskiego.*) i Wac Pan Dobr:, gdybyś znał tę, którey bronię, zamiast zwracania na nią surowości prawa, gorliwym owszem byłbyś iey obrońcą. Zobaczyć ią tylko potrzeba, a natychmiast wszystko za nią mówi. Wdzięki, skromność a nadewszystko łagodność iey humoru.

FURYBURSKI.

Jey łagodność? ze diabły doświadczyliśmy tey łagodności! Moy kochany, maszże tey łagodności częste dowody?

ARYST.

Ustawiczne, i codzienne.

FURYBURSKI, (*do Potulnickiego.*)

Jakże daleko oślepł!

POTULNICKI.

Ale moy kochany, my mamy przyczyny inakszego rozumienia.

ARYST.

O moiey żonie?

POTULNICKI.

Tak iest.

REGINKA, (*na stronie.*)

Ale iak śmieszna pomyłka!

POTULNICKI.

Owszem bardzo iest popędliwa i nierostropna. Mówię to nawet iey w oczy, że mi się mocno niepodobała.

ARYST, (*obzieraiąc się na wszystkie strony.*)

Jey w oczy?

FURYBURSKI.

W taką mnie złość wprowadzić, i tak być zuchwałą!

POTULNICKI.

Bardzo uraziła ſtryia.

REGINKA.

Nie wytrzymam. Będę ſię na cały głos śmiała.

DAMON.

Słuchayno, Aryście.

ARYST, (do Damona.)

Czy to być może żeby Meliſſa?...

ELIZA.

Nie ſtało ſię tu nic złego. Poſtąpiono z nim przyzwoicie.

FURYBURSKI, (do Aryſta.)

Otoż Waść i ſam ſłyſzyſz.

ARYST.

Cóż! ia tu nic nie ſłyſzę.

POTULNICKI, (do Furyburſkiego.)

Kiedy aż do tego punktu ieſt zuchwała, otoż i ia przyſtaię na twoie żądania, bracie. Prędzey chodźmy zakrzątnąć ſię koło rozwodu.

ARYST.

To być nie może, żeby Meliſſa taką była. Zadną miarą temu nie wierzę, i zaraz idę po nią.

FURYBURSKI, (do Potulnickiego.)

Cóż to! czy od rozumu odſzedł?

POTULNICKI, (do Aryſta.)

Dokądże póydzieſz po nią?

ARYST.

Do iey pokoiu.

FURYBURSKI.

Cóż to! czy filozofia przewróciła ci mózg w głowie? alboż iey nie widzisz przed sobą?

A R Y S T,

(*postrzegaiąc żonę, która tylko co weszła.*)

Ona w samey rzeczy! zobaczmy co na to powie.

SCENA IX.

POTULNICKI, FURYBURSKI, DAMON, MELISSA, ARYST, ELIZA, REGINKA.

ARYST. (*do Melissy.*)

PRZYBLIZ się tu Wac Pani do nas.

POTULNICKI.

Co widzę!

D A M O N.

Otoż to ta iest żona Arysta.

FURYBURSKI.

Ona iego żona?

R E G I N K A.

A iuż ci.

A R Y S T, (*do Melissy.*)

Powiadano mi, że ociec moy i stryi mocno tu od Wac Pani byli urażeni? że bez żadnego dla nich respektu...

M E L I S S A.

Ja miałabym Ichmościów urazić, która z niemi nie miałam ieszcze nigdy honoru mówienia!

A R Y S T.

Cóż to znowu za bałamuctwo!

D A M O N.

Proszęż mnie posłuchać; wszystko natychmiast będzie wiadomo. Omyłka stała się przyczyną tego hałasu, a omyłki popędliwość siostry Melissy.

A R Y S T.

Ale czemuż nie było zaraz o tym przestrzedz?

D A M O N.

Jakże! kiedy mnie słuchać nie chcieli.

E L I Z A.

Ja zaś, com powiedziała, to samo i drugi raz gotowam powtórzyć. Idzie o ostatnią obelgę i krzywdę moiey siostry, i na to miałabym być oboiętną? Upewniam, że gdybym była Wac Pana żoną, a o mnie tak myślano, stryi iego nie z czyiey, tylko z moiey zginąłby ręki.

MELISSA, (do Furyburskiego i Potulnickiego.)

W czymże iestem winna? przyświadczy mi Aryst, że nie przyzwoliłam na nasze sluby, póki mnie nie upewnił i nie zaprzysiągł, że ociec chętnie ie potwierdzi, (*do Potulnickiego.*) Zatym do W. Pana Dobr: widzę, iż mi się udać potrzeba, abyś synowskie raczył uiścić obietnice. Nadto, W. Pan Dobr: kochasz swoiego syna, abyś miał potępiać iego wybor i moiego nieszczęścia stawał się przyczyną.

P O T U L N I C K I.

Moia Pani! syn moy nie mogł zacnieyszey obrać dla siebie żony. Znam to, i nieprzeciwilbym się zapewne, gdyby maiątek Arysta mogł na was oboie wystarczyć; ale iego szczę-

ście zawiſło od ſtryia, ktòry naſtaie na rozwod, albo go wydziedziczy.

MELISSA, (do Furyburſkiego.)

Na Wac Pana Dobr: nie mam innego oręża, prócz łez i uniżoności. Racz potwierdzić moie ſzczęście, oto cię proſzę, i nie będę miała za wſtyd do nóg ſię twoich uniżyć. Ale, ieżeli daremne ſą moie żądania, ieżeli zoſtanieſz nieporuſzony w ſwoim gniewie; nie chcę być przyczyną nieſzczęścia Aryſta. Dokonay naſzego rozwodu, a przywròć mu ſwoy affekt, moią zaś ztąd hanbę i żal ſmutne klaſztoru ukryią ściany.

FURYBURSKI, (zniewolony.)

Ktożby mogł nie zoſtać zniewolonym, na taki urok łagodney i ſłodkiey wymowy! ſynowico moia kochana, zoſtań, proſzę cię. Ale co teraz poczną! W zapędzie gniewu moiego przyrzekłem rodzicom Szambelana zapiſać cały maiątek moiey paſierżbicy: choć zatym dozwolę żyć wam z ſobą, nie będziecie po mnie mieć ſukceſſyi. Wſzyſtko Szambelan weźmie.

ARYST, (do Furyburſkiego.)

I owſzem należy, żebyś W. Pan Dobr: był w ſłowie rzetelny: ia zaś mam wſzyſtko, kiedy Meliſſa moią będzie.

SCENA OSTATNIA.

SZAMBELAN, POTULNICKI, FURYBURSKI, ARYST, DAMON, MELISSA, ELIZA, REGINKA.

SZAMBELAN.

ZASTAIĄC was tu razem, Państwo moie, dorozumiewam się, że po krótkiey sprzeczce nastąpiła zgoda. Nie można, wierźcie mi, rostropniey postąpić, (*do Arysta.*) Tobie, przyiacielu, winszuię szczęśliwego postanowienia. Uściłbym się dawniey, w tym naszey przyiaźni obowiązku; ale żeś nie był łaskaw, i wcześniey mnie nie ostrzegł, niech i ten moment nie będzie wzięty za opoźnienie.

ARYST.

Moy Szambelanie, zaniechay tych iałowych żartow. Nie obawiam się ich więcey, pewien, że i na ciebie wkrótce takaż przyidzie koley.

SZAMBELAN.

Byleby tylko wola twoiego stryia nastąpiła, iesczem dziś gotow. (*do Furyburskiego.*) Umyśliłeś W. P. Dobr: wydać swoią pasierżbicę za Arysta, co teraz iuż nastąpić nie może; zakończmyż my między sobą interes.

FURYBURSKI.

Powoli, powoli, Panie młody, iaki z Waści gorączka.

SZAMBELAN, (pokazuiąc na Aryſta.)

Skoro człowiek tak rozumny poddaie ſię pod iarżmo małżeńſkie, ſkoro ſię tego nie wſtydzi; mogęż nadto ſkwapliwie w ten ſam, co i on, puścić ſię zawod?

FURTBURSKI.

Niechże i tak będzie. Daię Wac Panu moią paſierżbicę, Znaſz iey urodzenie edukacyą....

SZAMBELAN.

Znam bardzo dobrze.

FURTBURSKI.

Nie ieſt też Panienka uboga.

SZAMBELAN.

Tym lepiey.

FURTBURSKI.

Do tego ieſzcze cały wam moy maiątek zapiſzę.

SZAMBELAN.

Co to, to proſzę, żeby nie było w intereyzie; inaczey dziękuię za wſzyſtko, i do niczego nie przyſtąpię.

FURTBURSKI.

Jak to! nie chceſz przyiąć moiey łaſki?

SZAMBELAN.

Nie żebym miał udawać wſpaniałego, ale że z czaſem aż nadto będę bogaty. Nareſzcie choćbym był nayuboższy, i wſzelkich dobrego mienia pozbawion nadziei, wolałbym raczey umrzeć w uboſtwie, iak bogacić ſię z krzywdą przyiaciela: a zatym racz W. P. Dobr: być zupełnie dobroczynnym. Nie dość to ieſt, że dozwalaſz Aryſtowi żyć z Meliſſą; potrzeba ieſzcze, abyś uwieńczył ich cnotę. Proſzę,

chciey dla nich upewnić cały swóy maiątek, bo ia go nie przyimę.

A R Y S T.

Ah! nadto wspaniały przyiacielu.

P O T U L N I C K I.

Co za osobliwszy i rzadki charakter?

F U R Y B U R S K I.

Dziwię się takiemu oświadczeniu, lecz nareszcie przystaię na nie. Aryście! i ty Melisso! Przedsięwziąłem was ukarać, lecz wszystko mówi za wami. Niechże moy cały maiątek będzie waszym, choć inaczey być miało.

M E L I S S A.

Szczęście Arysta iest moim także szczęściem.

F U R Y B U R S K I, (do Brata.)

Chodźmy bracie napisać razem dwie intercyzy.

A R Y S T. (do Elizy.)

Jeżeli chcesz, siostro, możemy zaraz napisać trzecią.

M E L I S S A.

Zapewne, do czego te fałszywe wstręty. Skoro kochasz Damona, day mu słowo.

A R Y S T.

Wierz mi, że z tey partyi będziesz kontenta. Ukrywał się dotąd z urodzeniem i nazwiskiem swoim, ale ręczę ci za iego znakomitość i zacność.

E L I Z A.

Wierzę Wac Panu, ale z tym wszystkim...

R E G I N K A.

Do czegoż Wac Pannie te dziwactwa?

D A M O N.

Widzę nareszcie, że choć niechętna oddaiesz mi iednak sprawiedliwość.

ELIZA, (z udanym gniewem.)

Tak tak, poczwaro! widzę, że z przeznaczenia twoią być muſzę. Maſz za ſobą ſerce moie, ale zobaczyſz, iak ſię nad tobą pomſzczę.

R E G I N K A.

Nie ſzpetna zapowiedź.

D A M O N.

Łay, gniewąy ſię, piorunuy. Kochaſz mnie iednak, ia ciebie kocham, i niczego ſię nie obawiam.

ARYST, (do Meliſſy.)

Dla dogodzenia zaś twoim żądaniom Meliſſo! zadzierżgniymy tym mocniey ſłodkie związki naſze wobec powſzechności, i przekonaymy żartowniſiow, że mimo wſzelkie ſzyderſtwa i oſławienie, ſtała tylko cnota ſzczęśliwe czyni małżeńſtwa, a małżeńſtwo przyſtoi cnocie.

K O N I E C.

SUPPLEMENT

KATALOGU.

Powieści moralne Panny *Uncy*, które ſą niby dopełnieniem Powieści P. Marmontela. 4. Tom: in 8vo. - - - Zł: 24.
Amant Doktor, Komedya. - Zł: 2.
Anne-bell, Powieść moralna. - Zł: 2.
Cyrulik Sewilſki, Komedya. - Zł: 3.
Doktor Lubelſki Komedya - - - - - Zł: 3.
Dwie Krolowe, Dramma. - - Zł: 3.
Dwoiakie glupſtwo, Komedya. - Zł: 3.
Mieſzczki modne, Komedya. - Zł: 3.
Meropa, Tragedya Pana Voltaire w wierſzach. Zł: 3.
Rozwodka, Komedya oryginalna. - Zł: 2.
Slub modny, Komedya. - - Zł: 3.
Alcyra, Tragedya Pana Voltaire. - Zł: 3.
Opiekun oſzukany przez ſiebie, Komedya. Zł: 2.
Oſada nowa, Opera. - - Zł: 2.
Renſy, Powieść moralna. - - Zł: 1. i pół.
Sługa Pani, Opera. - - Zł: 2.
Ubyt Bankrut, Komedya. - Zł: 3.
Wyſpa bezludna, Opera. - - Zł: 2.
Ot tak po Warſzawſku, Komedya - Zł: 3.
Honorarium, Komedya. - - Zł: 3.
Swiętoſzek, Komedya. - - Zł: 3.
Ociec dobry, Komedya. - - Zł: 3.
Frantoſtwa Panfila, Komedya. - Zł: 3.
Natalia, Dramma. - - Zł: 3.
Miłość odnowiona, Komedya. - Zł: 2.
Lucylla, Komedya. - - Zł: 3.
Pas Czarnokſięſki, Komedya. - Zł. 2.
Tryumf kontuſza, Komedya. - Zł: 2.

Medea, Melo-Dramma. - -	Zł:	1.
Szkoła kobiet, Komedya. - -	Zł:	3.
Małżeństwo w rozwodzie, Komedya. -	Zł:	3.
Mąż oszukany, Komedya. - - -	Zł:	3.
Niewdzięcznik Komedya. - - -	Zł:	3.
Gdyracz, Komedya. - - - -	Zł:	3.
Don Juan, Komedya. - - -	Zł:	3.
Podeyrzliwi, Komedya. - - -	Zł:	1. i pół.
Filozof żonaty, Komedya. - - -	Zł:	3.
Dwoch Strzelcow i Mleczarka, Opera. -	Zł:	2.

Wieśniaczka uszczęśliwiona. Tom: 4. *in 8vo*. Zł: 16.
Zbior Rezolucyi Rady Nieustaiącey, potrzebnych do wiadomości Juryzdykcyi Sądowych, i Obywatelow oboyga Narodow. Tom 1. *Fol:* Zł: 12.
Zwierzenie i poufanie ładney Kobietki. Tom: 4. *in 8vo*. - - - Zł: 8.
Hystorya o kawalerze Baptiste de Laporte i Blance de Rossy. - - - - Zł: 2.
Hystorya Turecka Tom: 5. *in 4to*. - - Zł: 36.
Krolowa dziwak, Powieść moralna. - Zł: 1.
Listy Przyiacielskie. - - - Zł: 2.
Dwa listy Pana Doświadczyńskiego. - Zł: 1. i poł.
Hystoryczno-krytyczne wiadomości o życiu i pismach P. Voltera, z iego portretem. - Zł: 4.
Kabała. - - - - Zł: 1.

Pod Prassą.

Apteczka końska.
Alzyra, Tragedya P. Voltaire w wierszach.
Starcy oszukani, Komedya.
Zumma, Tragedya.